



# KORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca na Wschodzie*

ROK III Nr 26 (65)

NIEDZIELA 4 LIPCA 1943 R.

CENA 20 FLS

## NA DZIEŃ 4 LIPCA

Po raz pierwszy w naszych dziejach zbliżyliśmy się tak silnie do narodów anglo-saskich i do ich kultury. Z Wielką Brytanią związani jesteśmy wypróbowanym już przymierzem. Znajdując głębokie uzasadnienie w obecnej sytuacji świata przetrwało już ono zwycięskie blaski i nęde tej wojny i jak sądzimy, okaże się bardziej żywotne niż to przypuszczają ci, którzy chętnie widzieliby jego rozluźnienie. Ze Stanami Zjednoczonymi jesteśmy związani przyjaźnią głęboko zakorzenioną.

Przyjaźń to bardzo starej daty. Nie wytworzyła jej przejściowe okoliczności polityczne, czy koniunkturalne, ani też uczucia sztuczne, zrodzone w gabinetach politycznych czy w biurach propagandowych. Stał się jako Polacy, reprezentowani przez takich ludzi jak Kościuszko i Pułaski, przy narodzinach Stanów Zjednoczonych. Nasi emigranci byli współbudowniczymi mocarstwa amerykańskiego, a dziś stanowią odłam oddanych i ofiarnych jego obywateli, jak o tym świadczy liczny udział Amerykanów o polskich nazwiskach w szeregach armii Stanów Zjednoczonych. Za okazane im nigdy zaufanie, za przyznaną ciemieniom przez zaborców wolność w granicach Stanów Zjednoczonych Amerykanie polskiego pochodzenia splecają dziś hojnie i szczerze swą obecnej oczywiście dług wdzięczności. Polska krew umie być wierna.

Głębokie węzły uczuciowe, które wytworzyły się na tle wspólnych wspomnień i bogatej tradycji, wojna ta wzbogaci jeszcze silniej i obficie. Od pierwszej chwili prowadzonej przez nas walki szły ku nam z Ameryki słowa otuchy, wytrwania, podziwu. Prezydent Roosevelt nazwał Polskę „natchnieniem świata”. Wybitni mężowie stanu Ameryki Północnej wyrażali niejednokrotnie przekonanie, że odbudowa Polski niepodzielnej i wolnej będzie sprawdaniem sprawiedliwości. Prasa amerykańska w znakomitej większości wykazywała zrozumienie dla naszych spraw stając w obronie interesów Polski również wówczas, gdy były one zagrożone podstępnie i skrycie oraz gdy przeciwstawienie się zaskusom godzącym w Polskę z tyłu stron wymagało szczególnej odwagi i charakteru. Nie zapominamy w szczególności tego, co w obronie Polski i Polaków w Rosji zrobiono, powiedziano i napisano w Ameryce od początku tego roku. Wszystko to powiększyło kapitał tradycyjnych uczuć łączących oba kraje i wytworzył między nimi węzły, z którymi każdy liczyć się musi.

Czy zdolamy jednak owe uczucia tak szlachetne i głębokie przetopić w trwały kapitał polityczny? Czy potrafimy instynktowną przyjaźń podmurować myślą polityczną i lepszym zrozumieniem wzajemnych interesów oraz potrzeb?

Trzy państwa znalazły się w obozie sprzymierzonych nie z musu, lecz z pełną świadomością spełnianego

obowiązku nie tylko wobec siebie, ale i wobec świata. Państwami tymi były Polska, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Polska dlatego, bo jak powiedział niedawno przywódca demokratycznej większości w Ameryce, Mac Cormack „posiadała tę odwagę, by w roku 1939 powiedzieć Hitlerowi — nie” i „nie chciała stać się państwem satelita”. Wielka Brytania dlatego, bo dopełniając warunków przymierza z Polską stanęła w jej obronie wypowiedziela

ny, w którym każdy naród znalazłby dla siebie miejsce, a którego bezpieczeństwo byłoby oparte na trwałych i realnych podstawach.

I choć nie jest zamiarem naszym obniżać rolę i znaczenie innych sprzymierzeńców, żadne bodaj mocarstwo sojusznicze nie uczyniło tyle dla wytworzenia stylu moralnego i programu politycznego zespołu państw walczących z „osią”, jak właśnie Stany Zjednoczone, które zasadnicze stanowisko swe określiły

nowy okres przed republiką Waszyngtona, okres obudzenia się odpowiedzialności za stosunki istniejące na całej kuli ziemskiej. Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Wallace napisał niedawno, że świat nie może być w połowie wolny, a w połowie niewolniczy, że błędem poprzedniego pokoku była jego półowolność, a błędem Stanów Zjednoczonych po tamtej wojnie było odosobnienie, naiwny w swym egoizmie izolacjonizm, z którym — zdaniem p. Wallace'a — Ameryka powinna zerwać raz na zawsze. Wiceprezydent zaznaczał również na innym miejscu, że gdyby sprzymierzeni uzyskali obecnie jedynie pokój połowiczny i nieszczerzy, doszłoby do wojny światowej nr 3.

Nie też może nie jest tak pocieszające dla czasów obecnych w przeciwieństwie do złudzeń tamtej wojny, jak owo trzeźwe przekonanie, że o ile nie dopełnimy w tej wojnie i w przyszłym pokoku pewnych wyraźnie określonych warunków politycznych — dojdzie do trzeciego, jeszcze straszliwszego kataklizmu. By go uniknąć, trzeba osiągnąć totalne zwycięstwo i totalny pokój, oparty wszechstronnie o zasady, w których imieniu walka jest prowadzona. Kto chce pokoku prawdziwego, musi strzec, by Karta Atlantyka nie uległa przy jej wykonywaniu sfalszowaniu. Kto chce świata wolnego, musi uczynić wszystko, by cztery jego wolności nie stały się czczym banałem, wysydzanym po kątach przez cyników. Kto chce świata lepszego, musi znaleźć takie rozwiązanie obecnego kryzysu, by na miejsce jednej niewoli nie przysłała inna, na miejsce jednego totalizmu totalizm innej jedynie barwy. Gdyby — co nie daj Boże — tak się stało, Stany Zjednoczone a z nimi wszystkie do wolności przywiązane narody przegrałyby wojnę mimo takich czy innych triumfów militarnych.

Stany Zjednoczone rozpoczęły tą wojną nową erę swej historii. Nową erę rozpoczęła również Polska. Szukając wspólnej platformy politycznej dla obu tych narodów żyjących w tak odrębnych warunkach widzimy ją: 1) w gotowości walki za wolność własną i świata, 2) w dążeniu do rozwiązań uniwersalnych, 3) w zrozumieniu, że warunkiem opowania ogromnych współczesnych powłok gospodarczych i społecznych, które wzrosną jeszcze po wojnie, będzie znalezienie silnej moralnej i ideowej podstawy działania, i wreszcie 4) w zainteresowaniu losem mniejszych narodów, których wolność jest jedną ręką prawdy i zwycięstwa Europy.

Podobnie jak Amerykanie, podobnie jak Brytyjczycy, nie chcemy Europy poddanej hegemonii jednego mocarstwa, Europy odciętej od reszty świata, grożącej innym kontyntenom. Pragniemy Europy współdziałającej z innymi kontyntenami,

(Dalszy ciąg na str. 2)

Prezydent St. Zjednoczonych



Franklin Delano Roosevelt

*Minister of National Affairs, Poland*  
*Franklin D. Roosevelt*

Hitlerowi wojnę, by następnie przez dwa lata stać samotnie na czele koalicji przeciwnieckiej, brojącej wolności Europy. Stany Zjednoczone dlatego, bo jeszcze przed przystąpieniem swym do wojny nie ukrywały, że stoją moralnie po stronie sprzymierzonych, a przeciw „osi”, że potępią i nie uznają jakichkolwiek napaści, gwałtów i bezprawia.

Postawa tych trzech państw wobec kryzysu światowego była zatem od pierwszej chwili jego wybuchu wiosną 1939 roku jasna, wyraźna i świadoma. Nie było z ich strony kręactw, oszustw i prób uchylania się od odpowiedzialności przez kunktatorskie spiskowanie z wrogiem ludzkości. Była natomiast wola wzięcia na swe barki całego brzemienia największej w dziejach świata walki.

Pod niemalym też wpływem Stanów Zjednoczonych wytworzyła się postawa moralna i polityczna obozu sprzymierzonych. Znalazła ona wyraz między innymi w Kartie Atlantycznej oraz w wysuniętych przez Prezydenta Roosevelta „czterech wolnościach” uznanych za ideowe cele wojny. W rozumieniu Stanów Zjednoczonych wojna obecna prowadzona jest po to, by w wyniku jej powstał świat lepiej zorganizowany, odrodzo-

jeszcze przed wrześniem 1939 roku, zdobywając tą drogą posiadany obecnie wielki kapitał moralny, ale i biorąc na swe barki ciężką odpowiedzialność za ideowe i polityczne wyniki tej wojny.

Nieraz już stwierdzaliśmy, jak dalece wojna obecna różni się od poprzedniej, lecz jednym z najbardziej przejmujących objawów świadczących o tej różnicy jest tym razem pełne, całkowite zaangażowanie się w niej Stanów Zjednoczonych z całym ich rosnącym nieustannie potencjałem. Po raz pierwszy amerykański dynamizm i rozrach znalazły sobie tak żywiołowe ujście nie tylko w wysiłku wojennym, ale i w szerokiej inicjatywie politycznej, która przelewała się zaczęła poza granice Stanów, by objąć cały świat i wyrazić się w gigantycznej produkcji, w wielomilionowej armii, wysyłanej na różne fronty, w planie „Lease and Lend”, w zainteresowaniu wszystkimi zagadnieniami świata i w głoszeniu potrzeb przez zwyciężenie kryzysu cywilizacji przez przyjęcie obowiązujących całej świat określonych zasad ideowych. Rozmach amerykański, to zjawisko najbardziej typowe dla czasów obecnych, a którego następstw nie można jeszcze przewidzieć ani ogarnąć.

Wojna obecna otworzyła już dziś

# TYGODNIK

## Przeгляд

NA FRONCIE W ROSJI trwa zastój, mimo że minął już czerwiec, miesiąc, w którym dwukrotnie wojska niemieckie rozpoczynały tam ofensywę. Cisza ta — przerywana jedynie wypadami lotniczymi z obu stron — intrzyguje coraz bardziej opinię. Korespondent Reutersa w Moskwie Harold King zapewniał, że nie należy z tej zwłoki wyciągać fałszywych wniosków, gdyż „idealna pora ofensywy nadchodzi dopiero obecnie”. Niemcy sami nie przestają twierdzić, że cisza może być przerwana w każdej chwili. Istotnie wiadomo, że skupiają cni znaczne siły, zwłaszcza na odcinku Moskwy.

Z drugiej strony jednak mnożą się dane świadczące, że w niemieckich kołach miarodajnych zwycięzca coraz bardziej duch defensywy. Niektóre pisma „osi” zaczęły wypowiadać poglądy, że Niemcy i Japonia zdobyły dość obszarów jak na swe potrzeby, że mogą obecnie ograniczyć się do obrony i pozostawić inicjatywę aliantom. Jedno z pism włoskich wysunęło nawet przysuszczenie, że na froncie rosyjskim nie będzie latem tego roku większych działań wojennych, gdyż Niemcy nie potrzebują tam uderzać ponownie, a Rosja jest rzekomo zbyt wyczerpana, by zdecydować się na nowe krwawienie. Czy przypuszczenia te są uzasadnione — trudno osądzać. Zdaje się, że ich słuszność zależeć będzie od wielu jeszcze okoliczności, których nie znamy. Ale wywody powyższego pisma malują nastroje panujące w państwach „osi”.

ROSJA ZE SWEJ STRONY DOMAGA SIĘ ZNOWU „DRUGIEGO FRONTU”. Komunikat Sowietckiego Biura Informacyjnego, wydany w drugą rocznicę rozpoczęcia wojny sowiecko-niemieckiej kończył się żądaniem otwarcia drugiego frontu

w zachodniej Europie, bez którego „zwycięstwo nad Niemcami nie jest możliwe”. Temat ten podjęła prasa sowiecka

Nie ulega wątpliwości, że to, co w Moskwie nazywają „drugim frontem” będzie w stosownym czasie otwarte. Pamiętać jednak należy — co zaznaczył niedawno amerykański minister marynarki płk. Knox — że obecnie istnieje nie jeden tylko front, a osiem frontów: na M. Śródziemnym, na Atlantyku północnym i południowym, na północnym i południowym Pacyfiku, w Burnie, w Cbinach, w Rosji nie mówiąc o froncie powietrznym nad Niemcami. Nie należy zapominać ponadto, że Anglosasi wraz z Chinami dźwigają obecnie cały ciężar wojny z Japonią, z którą Rosja nie walczy.

Nie chodzi zatem o otwieranie „drugiego frontu”, ale o inwazję Europy, co jak sądzimy, nastąpi dopiero wówczas, gdy będą istniały pełne warunki strategicznego i politycznego powodzenia tego przedsięwzięcia. Zupełnie bezcelowe byłoby improwizowanie lekkomyślnych wypraw, które nie przyniosłyby użytku wojennego i politycznego tym wojskom, które akcję tę będą istotnie przeprowadzały. Uderzenie, gdy nastąpi, będzie musiało być tak potężne, by zapewniło przewagę w Europie armiom brytyjskim, amerykańskim i krajów okupowanych. Ocena, kiedy warunki takie powstaną, nie należy do nas, ani tym bardziej do kawiarnianych strategów i agitatorów, ale do najwyższych czynników wojkowych odpowiedzialnych za prowadzenie wojny.

DESANT NA EUROPE nie będzie przecież imprezą łatwą i prostą, ale

wymagać będzie gigantycznego wysiłku oraz nagromadzenia olbrzymiej ilości nie tylko sprzętu broni i żeglugi, lecz również żywności wobec wygłodzenia Europy. Szef sztabu armii Stanów Zjednoczonych gen. Marshall, który jest typowany na wodza naczelnego wojsk desantowych, przestrzegł przed uprzączeniem sobie tego zagadnienia. Stwierdziwszy, że „zwycięstwo jest pewne”, zaznaczył jednak, iż dopiero „osiągnięty dobry początek” lecz, „ciężkie bitwy jeszcze nas czekają”. „Jest to najbardziej krytyczne lato — mówił gen. Marshall — dla nas i dla historii świata”.

Dlatego też, jak słusznie wywoził w oświadczeniu z dn. 22 czerwca p. Elmer Davies, szef wojskowego biura informacyjnego w Stanach Zjedn., należy wykazać w obecnej chwili dużą rozwagę i cierpliwość. P. Davies przestrzegł przede wszystkim przed plotkami, które kursują na temat inwazji, plotkami nieraz celowo rozsywanymi przez wroga, by szerzyć zamęt i budzić fałszywe nadzieje w szeregach sprzymierzonych. Propaganda obca wysiła się obecnie na podawanie różnych fałszywych terminów inwazji, która miała nastąpić bądź natychmiast po zajęciu Pantellerii, lub też w dniu 22 czerwca. Wróg sądzi, że w miarę jak „przepowiednie” te nie będą się sprawdzały, rozwijać się będzie rozczarowanie i zniechęcenie w krajach sprzymierzonych. Inwazja nastąpi — ale jak mówił p. Davies —, wszyscy wówczas o tym na czas się dowiedzą”.

NIEPRZYJACIEL PRAGNIERÓW. NIEZ jak zauważył dalej p. Davies, rozbudzić niecierpliwość w krajach okupowanych, a co więcej, sprokować je do przedwczesnych i lekkomyślnych powstań i zbytecznego rozlewu krwi. „Sunday Times” stwierdzał niedawno, że rząd brytyjski stara się wszelkimi dostępnymi środkami pohamować akty sabotażowe w krajach okupowanych. Dziś ruchy podziemne są tam bezsilne wobec uzbrojonych od stóp do głów Niemców, w razie inwazji natomiast stanowiąc będą bezcenną pomoc dla wojsk desantowych. Winny zatem się oszczędzać. „Sunday Times” zaznaczył, że stanowisko to podzielane jest przez rząd amerykański. Możemy tu dodać, że tegoż zdania są oficjalne czynniki polskie, które wielokrotnie zwracały się z apelem do Polaków w Kraju, by nie dali prowokować się podejrzanym radiostacjom do przedwczesnych wystąpień i oszczędzali krew polską. Krew ta ma służyć tylko sprawie polskiej, związanej dziś ze sprawą tych sojuszników, którzy Polakom i Polsce ufają. O walce Polaków zaś decydować mogą tylko te czynniki polskie, które na podstawie Konstytucji są do tego powołane.

Oczywiście, wszystko to wymaga od nas wytrwałości i cierpliwości. Wojna obecna stawia nam pod tym względem wymagania nieraz ponad siły ludzkie. Rozumiemy jednak wszystkie, czym groziłoby jej przedwczesne zakończenie, lub też jakie szkody przyniosłoby wyczerpanie sił polskich i sojusznicznych w nieprzemysłanych do końca imprezach.

Marsz. Smuts w jednym z ostatnich przemówień stwierdzał, że nadzieje Niemców wiążą się z przysuszczeniem, iż „ogólne wyczerpanie, impas, względnie kompromis dadzą im pokój, który pozwoli im nabrać tchu przed wznowieniem walki w korzystniejszych warunkach”. Tymczasem przed sprzymierzonymi świata już „pełne i bezwarunkowe zwycięstwo”, choć „główne walki na kontynencie europejskim dopiero nadejdą”. Przemówienie marsz. Smutsa każe jednak spodziewać się różnych jeszcze manewrów ze strony Niemiec, które pozwoliłyby im uniknąć walki na dwa lub więcej frontów w Europie.

POTEŻNA OFENSywa LOTNICZA sprzymierzonych na Niemcy i południowe Włochy jest tych walk zapowiedzią. W ciągu ubiegłego tygodnia trwał codziennie niemal ciężkie bombardowanie Zagłębia Ruhry. Krefeld, Huls, Muelheim, Elberfeld, Bohum, Gelsenkirchen, a ponadto Friedrichshafen nad Jez. Bodenskim były głównym celem nalołów. We Włoszech Neapol, Sardinia i Sycylia były nawiedzane przez samoloty alianckie. Bombardowanie Zagłębia Ruhry było bardzo silne. W ciągu 3 miesięcy zrzucono na ten okręg przemysłowy ok. 30 tys. ton bomb. Siła bombardowań jest tak potężna, że jeden z publicznych brytyjskich porównał akcję samolotów do działania „powietrznej artylerii”. Niektóre miasta, jak np. Wuppertal, gdzie zniszczono ok. 1.000 morgów terenu, przestały właściwie istnieć.

Niemcy nie tylko nie próbują ukryć zniszczenia, ale od pewnego czasu zużiwiszy taktykę rozdzielają szaty nad losom miast Zagłębia Ruhry, które według ich opisu wygląda dziś jak „pobojowisko”, po którym ludzie „przesuwają się jak cienie”. Dziennikarze niemieccy zapewniają przez radio, że widzieli zniszczoną Warszawę i Rotterdam, ale podobnego strasliwego obrazu spustoszenia, jaki przedstawia dziś Zagłębie Ruhry nie było w Europie. Lament nie może mieć różne powody i cele, a więc wzbudzenie litości na świecie, wywołanie w samych Niemczech i w ich niebombardowanych okolicach solidarności z mieszkańcami zniszczonych miast, ale również może usprawiedliwiać niepedagogiczne oczekiwanie przez Niemców akcji ofensywnej na wschodzie wobec konieczności dania większej lotniczej osłony zachodowi Rzeszy.

Faktem jest, że od pewnego czasu obrona przeciwlotnicza w zachodnich Niemczech wzrosła się znacznie, a samoloty sojusznicze napotykały na silniejszy opór pościgowców niemieckich, ścigających zapewne z frontu wschodniego. Świadczyłyby to, że ofensywa powietrzna aliantów osiąga już jeden ze swoich celów: rozpraszania siły wroga. Wiadomość o przwyciu wojsk niemieckich do Włoch potwierdza to mniemanie. Wojna nerwów utrudnia Niemcom, którzy mogą oczekiwać uderzeń z wielu stron, koncentrację sił w jednym miejscu, a przez to osłabia ich możliwości ofensywne i rozciąca ich środki obronne.

NIEMIECKIEJ PROPAGANDZIE nie brak w tych warunkach sprzeczności. Nastroiła się ona na ton defensywny, ale obawia się, by postawa obronna nie osłabiła ducha bojowego Rzeszy. Zapewnienia propagandy Goebbelsa, że „forteca europejska” ołoczona „murem atlantycznym” i umocnieniami nad Morzem Śródziemnym jest rzekomo nie do

(Dalszy ciąg na str. 9)

## NA DZIEŃ 4 LIPCA

(Dokończenie ze str. 1)

a zwłaszcza z Ameryką w nowym okresie dziejów. Tak się jednak składa, że Polska silna, niepodzielna, nie skrzywdzona i niezawista będzie takiej Europie nie tylko sprawdzianem, ale i rękomią. I tu właśnie w stosunku do zagadnienia Europy, za której losy czujemy się współodpowiedzialni, widzimy realny związek polityczny między nami a Stanami Zjednoczonymi, których postawa wyraża się m. in. w uznawaniu do dnia dzisiejszego niepodległości trzech państw bałtyckich.

W świecie powojennym rolę przodującą odgrywać będą narody zwycięskie, lecz główna, bardzo ciężka odpowiedzialność za rozwiązanie kryzysu cywilizacji spadnie z natury rzeczy na „narody mówiące po angielsku”, jak zwykły wyrażać się premier Churchill. One bowiem stanęły dziś na czele tej cywilizacji, która wywodzi się jeszcze z Rzymu łacińskiego i chrześcijańskiego, a której kamieniem węgielnym jest poszowanie osobowości ludzkiej oraz indywidualności poszczególnych narodów. W nowej tej erze, tak skomplikowanej i trudnej, nie będzie zresztą chodziło o bezkrytyczne przyswaja-

nie sobie amerykańizmu czy obyczajów brytyjskich — każdy z tych stylów narodowych wytworzył specjalne i odmienne warunki historyczne i geopolityczne — ale ugruntowanie tych podstaw cywilizacji, które są wspólne Amerykaninowi, Anglikowi, czy Polakowi.

W dzień 4 lipca — w święto narodowe Stanów Zjednoczonych — oczy wszystkich Polaków i wielu uciemięszonych narodów zwracają się ku Ameryce, skąd rozchodzą się dziś hasła, uważane przez ludzką za odrodzenie. Skierowują się one nie za banalną prośbą o pomoc, ale z wiarą i ufnością, że Stany Zjednoczone odniosą w tej wojnie zwycięstwo całkowite, że świat oprze się istotnie na głoszonych przez nie zasadach moralnych i politycznych oraz, że triumf tych zasad otworzy nową erę cywilizacji, która będzie wytworem wszystkich narodów miłujących wolność.

Stany Zjednoczone, podobnie jak Polska, grają dziś najwyższą rolę w swych dziejach. Niech ją wyrażają. A zwycięstwo ich niech otworzy okres nowego Odrodzenia.

Arp

## Siostra miłosierdzia pod dwoma okupacjami

## B O M B A R D O W A N I E

Niedawno wydana została w Stanach Zjednoczonych książka Marty Wańkiewiczówny pt. „Siostra miłosierdzia pod dwoma okupacjami”, zawierająca przeżycia Autorki z września i października 1939 r. Dzięki szczeroci i świeżości ujęcia, bystrej obserwacji oraz wrażliwości artystycznej młodej Autorki książkę należy zaliczyć do najcenniejszych utworów beletrystycznych obecnej wojny. Zarazem nie jest ona pozbawiona wartości dokumentu. Poniżej podajemy urywek z tej wartościowej pracy.

Dwudziestego września był ostatni, największy nalot na Chełm, w samo południe. Wysłałam akurat z oddziału do kasyna chcąc szybko zjeść i wrócić na salę, na rozdawanie obiadów chorym. Była pora najswobodniejsza w ciągu całego dnia szpitalnego: przerwa w opatrunkach, przed rozdawaniem obiadu, po odbyciu codziennego „obrzędku” na sali.

Z talerzem w ręku czekałam na zupę. Właśnie w chwili kiedy siostra przełożona nalewała mi warząchwą krupnik na talerz, usłyszeliśmy nadlatujące samoloty. Wdzieliśmy, że to nie nasze. Był dwudziesty wrzesień. Bolszewicy ponoć byli już pod Lwowem. Znalismy ciężki, basowy warkot bombowców niemieckich. Sprężyliśmy się wszyscy. Usiadłam żeby jednak mimo wszystko zjeść mój krupnik. W przejściu z jadalni do kuchni skupiła się biała gromadka siostr. Słychać było zniżające się nagłe nisko, niziutko samoloty. Sekunda zamarłej ciszy. Wirujący gwizd powietrza. Ciężki huk upadającej bomby. Drgnięcie ścian. Szklisty brzęk szyb. Potem parę chwil milczących, przenikliwych. Na razie koniec. W chwilę potem wszystko od początku: wyjący lej powietrza, łomot wybuchu, ściany, szyby, cisza.

Siostra przełożona przerywa rozlewanie zupy.

— Czy jest ktoś na oddziałach? — Nie, nie ma. Siostry są prawie wszystkie tu. Tylko te z Roentgena, z IV oddziału pracują jeszcze.

— Trzeba pójść na oddziały, która z siostr odważna — mówi spokojnie Przełożona. — Może wybuchną panika na salach. Tylko proszę wychodząc zdjąć białe fartuchy. Mogą ostrzeliwać z karabinów maszynowych. Białe fartuchy dobrze widać.

Odkładam łyżkę. Widocznie już nie dojem tego obiadu dzisiejszego. Ale przecież nie boję się. I tak nic nie poradzę. A krupnik co zjadłam, to zjadłam. Mam dziecinne poczucie, że jeśli nie wyjdę, to lotnicy niemieccy będą o tym doskonale wiedzieć i będą się mogli ze mnie wyśmiać. Zwijam w kłębek białe fartuchy i zdejmuję z głowy czepkę. Wychodzę do sieni. Otwarte drzwi pokazują słoneczny skrawek drzew i trawy, przez które trzeba przejść. 30 metrów na I oddział. Potem, pod drzewami, 20 metrów do drugiego oddziału.

Wygląda na to, że się na chwilę uspokoiło. Koło mnie staje ksiądz kapelan ze stulą i książeczką w ręku.

Muszę przejść po oddziałach, proszę siostry — mówi.

No, to wychodzimy. Bo ja też muszę iść — odpowiadam i cieszę się, że ktoś też idzie, że nie muszę wyjść sama w jasne słońce ogrodu. Idziemy ku drzwiom, gdy nagle gwałtowny wir wiatru zatrząskuje nam je przed nosem. Szyby śpiewają. Ksiądz chwyta mnie za ramie

i włącza we framugę sąsiednich drzwi:

— Najbezpieczniej we framudze, siostr!

Nie zdążyłam zapytać dlaczego, bo wybiegamy. Ksiądz znika na l. Ja mam jeszcze dwadzieścia metrów.

Dobiegam. W sieni uderza o mnie fala smrodu szpitalnego i trzeźwieje mnie z emocji. Zawsze wchodząc na oddział mam mdłości. Nie mogę się przyzwyczaić. Tuż przy wejściu są ustępy, śmierdzą środki dezynfekcyjne, a w otwartej separacie na lewo, zaraz za drzwiami, przy wejściu, leży Szczubek z tą swoją ropiejącą i tak straszliwie cuchnącą ręką.

Wkładam i wiąże starannie fartuch, poprawiam czepczek na głowie, pudruję nos, wchodzę.

Na mojej sali jest spokojnie i uśmiechnięto. Może dlatego, że leży tu pięciu Niemców. Trzeba im pokazać fason. Bo Niemcy się boją. Pierwszy raz przeżywają bombardowanie. Uwięzieni na swoich łózkach, nie mogąc się ruszyć, wtulają głowy w poduszki i krzyczą, żeby

wywiesić nad szpitalem wielki, wielki czterynowy krzyż.

— To i tak nic nie pomoże — mówi przyjacielsko podchorąży. — Te wasze dranie lotniki jeszcze więcej nam tu rzuca, bo wiedzą, że wielu naszych tu leży.

Aleksander Herm jedyny z spośród Niemców leży spokojnie. Błada twarz odcina się ostrym profilem na poduszce. Zamknął oczy. Leży cicho. O czym myśli? Gdy usłyszał głos podchorążego, obrócił ku niemu, w prawo głowę, otworzył oczy i powiedział:

— To nieprawda. Führer nie pozwolił bombardować szpitali.

— A sanitarki z karabinów maszynowych pozwolił ostrzeliwać? — pyta Kolański, a jego nieodstępny towarzysz, Józef Witos, mówi do Poppmanna:

— Ty bracie, nie hój się nic! Z łózka nie wyskakuj, bo i tak na swój kulas nie wstaniesz, a jeszcze sobie jakiego gnata przetrącis. Gatek co prawda ze strachu nie zgubisz, bo ich nie masz... (Ha! ha! ha! uciekł się rozgłośnie cały otaczający

cercle). — Czegóż się boisz? Cóż ci będzie? Najwyżej, że cię własne twoje Niemce zabiją. A tym to twego Führera nie zmartwisz tak bardzo. Czy żyjesz ty czy nie, jemu to, bracie, twojemu Führerowi, jak psu mucha.

Poppmann wytrzeszczył swoje dziecinne niebieskie oczy, nic nie rozumiejąc z tego wykładu, a Witosowi widocznie „jak psu mucha” naprowadziło asocjacje myślowe zgola inne, bo zaczął śpiewać ostatni przebieg wojenny, w czym mu godnie zaskundował Kolański:

„Mucha crawl'em pływa w sosie My Hitlera mamy w nosie Oj tadarada tam tam tam Tadarada tam tam!”

Wiem, że to ze względu na mnie Witos zamienił zupę na sos i że to dla niego wielka ofiara śpiewać tak szalenie cenuralnie o Hitlerze.

Wnieśiono na salę kocioł z zupą. Zaczęłam rozlewać w talerze i rozność. Witosowi podawałam w chwili gdy wyśpiewywał dalszy ciąg:

„A kto z znami trzyma sztamię Temu lepiej jak u mamy... Francja z nami, Anglia z nami, Będzie krewa z Hitlerami!”

Urwał i zajął się zupą. Kolański, który jeszcze nie dostał, kontynuował:

— A we Lwowie, w magistracie, Na szpagacie wiszą... — Podalam mu talerz. Uśmiechnął się szarmancko.

— Dziękuję siostrzyczko. Proszę mi na kolanach postawić, bo mi z tą ręką na skrzydle niewygodnie jeść.

Przyniosłam krupnik następnemu, szesnastoletniemu Michałkowi Kurowskiemu, jedynemu cywilowi na sali.

— Patrzcie państwu! Siostra Marta! I nawet nosek przypudrowany! Ze też siostra nie uciekała, siostrzyczko! A jedna z siostr to siedzi w ustępie, bo myśli, że tam bezpieczniej...

Moja solidarność nie wytrzymała próby.

— Nie wiem dlaczego w ustępie ma być przyjemniej umierać niż tu — roześmiałam się. Stanowczo lepiej się czułam na sali, wśród nich, niż w tłumie zastygłych nad krupnikiem postaci w kasynie.

Rozglądałam się po sali. Daleko, na drugim końcu dymi talerz nierozpoczętego krupniku. To łóżko podoborążego Zdzisia. Podchodzę i chcę go zgromić, że zupa stygnie, dlaczego marudzi, ale gdy dochożę do łózka, blisko, zawracam bez słowa i odchodzę. Zdziś trzyma oburącz różaniec. Oczy przymknięte. Skupiona, dziecinna, okrągła buzia. Krupnik dymi i stygnie. Wilczak, rzadca z Poznańskiego, opowiada sąsiadom jakąś anegdotkę pikantną widocznie, bo ogląda się, czy mnie nie ma blisko, czy nie słyszę. Witos woła do mnie poprzez salę, że chce jeszcze krupniku:

— Siostrzyczko! Dokładka! Odchodzę cicho, cichutko, tak żeby mnie Zdziś nawet nie zauważył. Nie trzeba przeszkadzać. Podchorąży Zdziś — modli się.

Tak różne były reakcje na sali na bombardowanie. Jedni brawurowali przed Niemcami swoją bezstrasliwą odwagą i więcej dbali o obiad niż o bomby, opowiadali sobie dowcipy, śpiewali. Inni zasuwali się w siebie i milcząc — czekali... Nie byli oni na pewno mniej odważni.

Bombardowanie skończono. Oddychamy.

Marta Wańkiewiczówna



W drugą rocznicę zgonu Ignacego Jana Paderewskiego czcimy pamięć Wielkiego Polaka i Artysty

„Nie walczymy o Polskę szlachecką, ludową czy robotniczą, o Polskę kapitalistyczną, o Polskę panów czy o Polskę chłopów, walczymy o Polskę całą, jedyną, wielką, niepodległą, o Polskę Matkę dla swych wiernych dzieci, o taką Polskę, o jakiej śnili i jaką przepowiadali nasi wieszczę, o Polskę Chrobrych i Jagiellonów, o Polskę, którą krwią swoją zrosili obrońcy Warszawy, Westerplatte, Helu, Modlina i Lwowa, o Polskę, za którą poległy tysiące nieznanych bohaterów, za którą dalsze tysiące każdej chwili zginą gotowi!”

Ignacy Paderewski  
23. I. 1940 r.

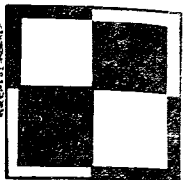
SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

# POLISH FIGHTING TEAM

# "Cyryk Skalskiego"

ZPH↑↑



Poniższą korespondencję nadesłał nam jeden z najciekawszych asów tzw. Cyryka Skalskiego — grupy myśliwców polskich, którzy brali udział w walkach w Afryce północnej zgodnie z reprezentacją skrzydła polskie. Red.

Na początku 1943 r. w jednym z portów brytyjskich załadowało się 16 pilotów polskich. Dzień był szkocki — pochmurny. Myny pilotów — jasne i uśmiechnięte. Znudziły im się już loty nad Francją, gdzie prawie nie spotykali przeciwników, a wobec nadmiaru konkurencji trzeba było o samo odbycie lotu staczać walki. A oto się otwierał nowy okres przygod wojennych.

W styczniu z niewiadomego źródła rozeszły się pogłoski, że na pustyni, przy jednym z dywizjonów angielskich powstanie flight polski. Władze przeczyły, młodzi marzyli o afrykańskich bojach przy „dublowkach” whisky lub ginu, a nie dla prostowania bananów, lecz do walki, aż do zakończenia kampanii afrykańskiej. Postawiono wygórowane warunki: półroczny pobyt w dywizjonie i najmniej 30 odbytych lotów bojowych. Pomimo to kandydatów zgłosiło się czterech. W oczekiwaniu na decyzję cięcia trwała podniecana dyskusja o szansach, optymiści zaczęli już likwidować prywatne sprawy. Paru tylko chodzilo po kasynie, radośnie popijając whisky — ci mieli już pewność. Jeden lisy a inny, ze wszystkimi możliwymi odzieniami bojowymi, drugi — kromiarski z zawodu — miał podobno przyjechać do stacji doświadczalnej, trzeci — „typ Hiszpana”, urodzony kontroler i instruktor, zmieniający funkcje jak rękawiczki.

Wreszcie — stało się. Szesnastu miało się spać, dać zaszcześcić i — wyjść.

Na statku panował duży ruch. Nasza szesnastka ludowała się prawie ostatnia. Dostali trzy kabiny w pierwszej klasie i przygotowywali się do długiej podróży wśród min magnetycznych, łodzi podwodnych i nalotów. Na jednej ze stacji zebrał ich pułkownik — myśliwiec z krwi i kości, który w 1940 r. był w Tunisie, w dywizjonie francuskiej „bocianów”. Cbiał i teraz jechać, ale stopień i funkcja na to nie pozwoliły. Ucisnął każdemu rękę życząc stracenia wietu swastyki.

Była noc, gdy statek ruszył. Miła niespodzianka spotkała lotników, gdy wyszedszy rano na pokład spojrzeli w prawo. Nie chcieli oczom wierzyc: na sąsiednim statku powiewała majestatycznie polska bandera.

Pierwszy dzień podróży minął na brydżu i zazywaniu świeżego powietrza. Morze było spokojne, dopiero pod wieczór zaczęło huścić. Nazajutrz silniejsze huśtanie odbiło się na humorach. Część straciła apetyt i spędzała czas leżąc. Na brydżu nikt nie miał ochoty. Nikt jednak na chorobę morską nie zachorował, czym nasza grupa wyróżniła się na statku. Dziubek wprawdzie, kłórego pono niegdys nianka za bardzo huśtała, bladł i zieleniał na samą myśl o huśtaniu, ale i on wytrzy-

mał, a nawet zrobił wykład o poprawkach strzeleckich — był specem od tych rzeczy w O. T. U. i miał zamiar wrócić na to stanowisko po praktyce afrykańskiej.

W dalszych dniach huśtanie ustało, wrócił brydż i inne gry z pokorem włącznie. Długów i tak nikt nie płacił, bo skąd? Każdy wyjechał spukany do nitki i w Afryce miał się „odkuć”. Dwa razy na dzień były próbne alarmy — każdy nakładał may-westkę i szedł na zbiórkę na pokład.

Dni się dłużyły, ściany kabin trzeszczały, szum maszyn usypiał. Konwój, osłaniany przez samoloty, wciąż zmieniał kursy.



Po zdobyciu nieco franków poszli zwiedzać miasto. Kazek zaprosił na lampkę wina z okazji swych imienin. Wszystkim szumiało w głowach, gdy znaleźli się w pociągu. Na stację schodzili się parami i trójkami, trójka, która osłaniała tyły wstępując po drodze do każdego baru spóźniła się na stację o 20 minut. Orzekli, że dziś nie pojedą. Pociąg jednak czekał.

Przyjechali do Algeru. Stamtąd pierwsza grupa poleciała 7 marca dla sportu do Tripoli, a stąd do Kairu. Nakupili dużo rzeczy, zwłaszcza Karol z Kazkiem. Jeden kupił torebkę damską, drugi skórę krokodyla, każdy sporo stracił u Dolls'a. Była to ostatnia eskapada przed czekającym ich życiem namiotowym na piaskach pustyni.

Druga część poleciała do Tripoli nazajutrz i rozsiadła się w „Officer's Club”, w nadmorskiej dzielnicy. Tu po raz pierwszy poczuli się okupantami. Bardzo spokojnie spędzili w przepelnionym wojskiem nieście dni kilka, wyjąwszy parę strzałów oddanych wśród nocenej ciszy na cześć zwycięstwa we wspomnianym klubie.

Po południu 13 marca wszyscy wyładowali na lotnisku w Bu-Grara. Było to lotnisko nadmorskie, przygotowane w ciągu 4 godzin, jako wyraz niechęci VIII armii do korzystania z lotnisk pozostawionych przez Rommla, wymagających przed użyciem skrupulatnego oczyszczenia z min.

Lotnisko Bu-Grara było miejscem postoju XX wingu (skrzydła), składającego się z 4 dyonów. Polacy zostali przydzieleni do YY sq, którego dowódcą, s/l NN — D.F.C. i 2 bars — przywitał ich bardzo miłe i uprzejmie. Amerykanin z pochodzenia, w służbie angielskiej, wielki zabijaka i doskonale strzelec, ukatrupił już 22 Szkopów i Makaroniarzy, a prawdopodobnych i uszkodzonych nie liczył w ogóle. Przystojny brunet o śniadej cerze i nejących niemiasty wąsikach. Dla polskich pilotów uprzejmy był zawsze i wszędzie.

Squadron składał się z pilotów różnych narodowości: Anglików, Australijczyków, Południowych Afrykańczyków, Rodezjan, Kanadyjczyków, jeden był z wyspy Trinidad, a dowódcą — Amerykanin. Wszyscy bardzo dobrzy piloci.

Polacy po kilku dniach przyzwyczajania się do życia namiotowego zbierali powoli Spitfiry i do spółki z NN kompletowali obsługę tymczasową. Spali na wilgotnej ziemi, oddychali piaskiem, pili w braku innej półstogą wodę i wśluciwali się w huk armat grzmących na Mareth Line, od której lotnisko było oddalone o ok. 18 mil. W nocy wydał było błyski i huk zwykle się wzmagal.

Zycie koncentrowało się w kasynie, złożonym z trzech namiotów. Cztery stoły, parę ławek i krzesel, w rogu bar, gdzie kupowało się papierosy i trunki tj. czystą wodę lub z domieszką piasku. Piwo było marzeniem ściętej głowy. Był wprawdzie włoski samolot Savoia i specjalny pilot, który starał się o trunki, ale to była kropla w morzu. Miało jeszcze kasyno zdobyte gdzieś radio.

Polacy szybko się przyzwyczaili, czekali niecierpliwie, aż flight będzie gotów do startu. Chodzili koło maszyn, na których już mechanicy namalowali szachownicę polskie, glaskali je i zgrzytałi zębami na samą myśl o Szkopach.

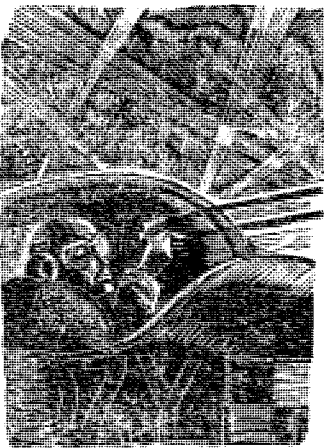
Grupa ta, wybrana jako kwiat polskiego lotnictwa myśliwskiego, złożona była z weteranów polskiej wojny, kampanii francuskiej i Battle of Britain. Każdy miał już zasługi bojowe, o czym świadczyły wstążeczki V.M., K.W., D.F.C. i Croix de Guerre. Z takimi pilotami można było podejmować z całym zaufaniem najtrudniejsze zadania.

Wreszcie 17 marca wykonali pierwszy lot treningowy, po południu zaś rozpoczął flight polski pierwsze loty bojowe nad linią Mareth i nad terenem nieprzyjacielskim. Zaczęła się właściwa praca. Wstawali o wschodzie słońca, osłaniałi bombowce, wykonwali patrole nad frontem i lotniskami wroga, czyhali na Szkopów, lecz początkowo nie mieli szczęścia ich spotkać. Dzień do dnia był podobny. Niemcy unikali spotkania. Lotnictwo angielskie panowało w powietrzu, bombardowało bazy lotnicze, pozycje umocnione, stanowiska artylerii, ostrzeliwało z karabinów maszynowych drogi i pozycje.

Złość brała naszych pilotów, bo angielscy koledzy jednak się bili, mieli jakieś spotkania, zestrzeliwali, sami wracali postrzelani, widać było, że wojna trwa, czego wyrazem było też przełamanie linii Mareth po 20

marca. Niemcy wycofali się na północ od Gabes usiłując tam stawiać opór! Polski flight otrzymał 10 maszyn Spitfire IX i deca wingu Mustang sam poprowadził na pierwszy występ nad Sfax. Formacja bombowców leci bombardować lotnisko „osł” w Sfax. Nasza piątka idzie na 1000 stóp. Ma zadanie: łapać startujące z lotniska maszyny nieprzyjacielskie. No i będące w powietrzu, oczywiście także. Widać już Sfax, lotniska, jakieś ciemne sylwetki maszyn suną nad miastem. Kamuflaż zupełnie odmienny od naszego, ciemny, a na skrzydłach czarne krzyże. Nie wytrzymał Lysy, krzyknął w radiu: Szkozy na dole i runął w dół. Bieże Ju 88 na celownik, odległość zmniejsza się z szybkością błyskawicy. Jedna seria, druga i... Ju 88 rozbija się koło fermy. Lysy jest uradowany i rozwścieczony zwycięstwem, szuka następcy ofiary, strzela do przelatującego z boku Me 109. Broni się przed następnym, jest sam. wraca. Artyleria grzeje. Przyniuli się do ziemi, szybkość 300 mil na godzinę, pełny gaz. Wpada na miasto, ulicą jadą lory wojskowe. Bez zastanowienia truje do jednej z nich. by za chwilę zostawić ją w płomieniach i wyjść na morze na kursie do domu.

Za nim runął w dół Dziubek. Potrzeba mu było 2 minut, by z wysokości 10.000 stóp znaleźć się nad ziemią, zostawić w płomieniach nas-



tego Ju 88 i znow się znaleźć na 8.000 st., przy formacji.

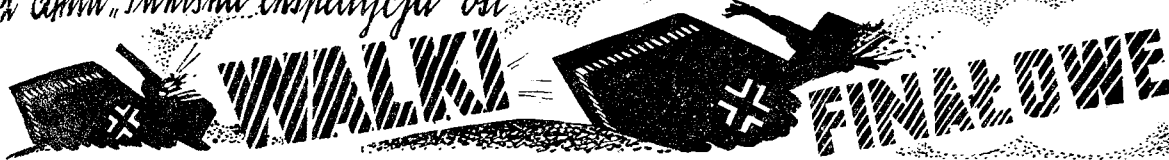
Były to pierwsze dwa zwycięstwa „Polish fighting team” na Desercie. Radość naturalnie wielka, tym większa, że przypadły na Łysegę — deca flightu i Dziubka, wykładowcę poprawek strzeleckich.

(Dalszy ciąg nastąpi) Z. X.

### ZAWIADOMIENIE

Mikołajko Aleksander z Warszawy zawiadamia tą drogą rodzinę przyjaciół i znajomych o śmierci swej ukochanej żony ś. p. Jadwigi z domu Żelasko.

## o celu „Tuniska ekspedycja osi”



Około połowy kwietnia VIII armia brytyjska w pościgu za uchodzącymi wojskami Rommla osiąga rejon Enfidaville i z tą chwilą rozpoczyna się trzeci i ostatni akt tuniskiej ekspedycji „osi”.

Dowództwo nad wojskami „osi” obejmuje gen. Arnim, a marsz. Rommel opuszcza obszar Tunisu udając się na kurację do Rzeszy, z powodu rzekomego pogorszenia stanu zdrowia.

Front walki wojsk Arnima rozmieszczony na wzniesieniach dalekiego przedpola portów Tunisu i Bizerty (liczący niespełna 150 km długości) ma bardzo dogodne warunki terenowe dla obrony. Rozbudowywany od przeszło pięciu miesięcy system umocnień zdaje się być bardzo silny, tym więcej, że teren przedpola pozycji utrudnia w dużym stopniu swobodę rozwinięcia sił przeciwnika. Stabiej ufortyfikowana południowa flanką pozycji, na stromych stokach wielkiego kompleksu wzniesień Zaghorar, posiada za to dogodniejsze warunki terenowe do obrony.

Pozycja obrony „osi” ma nieomal charakter ciągłego systemu powiązanych ze sobą ośrodków oporu, bardzo głęboko rozbudowanych ku tyłowi, zwłaszcza na głównych i ważniejszych przejściach. Podstawowy szkielet obrony tworzą krzyżujące się ognie dział ppanc, często wzmacniane plutonami artylerii polowej (płaskotorowej) wysuwany na stanowiska pierwszej linii. Gniazda karabinów maszynowych ostaniają tę sieć kładąc

gestą zapórę na przedpolu. Liczne pola minowe rozbudowano nie tylko na przedpolu pozycji, ale również i wewnątrz oraz na jej zapole. Bezpośrednie wsparcie artyleryjskie zapewniają grupy moździerzy piechoty i artylerii strzemiowej, rozmieszczonej niemal równomiernie w głąb, tak by zapewnić ciągłe wsparcie ogniowe dla całokształtu systemu oporu. Pozycje rezerwowe przygotowano w bliskich rejonach Bizerty i Tunisu oraz na półwyspie Cap Bon w formie redut zdolnych do samodzielnej i długiej obrony.

Optymistycznie kalkulując gen. Arnim przypuszcza, że uda mu się utrzymać obszar Tunisu co najmniej przez przeciąg kilku miesięcy. W planie swoim zamierza on utrzymać się jak najdłużej na głównej pozycji oporu — przechodząc tylko w wypadku skrajnej konieczności do obrony na tyłowych redutach. W tym celu ponad połowę sił przeznacza do obsady głównej pozycji oporu, silniej nasycając wojskiem południową flankę pozycji, przy czym rzecz charakterystyczna, na odcinkach obrony tworzy on mieszane zgrupowania obsadzone z oddziałów włoskich, niemieckich i legionu francuskiego.

W odwodzie rozmieszczonym w dwóch zgrupowaniach (na północ i na południe od Tunisu) zatrzymał całą dyspozycyjną broń pancerną oraz trzy dywizje piechoty, z których jedną (S. S. imienia Goeringa)

umieścił na północ od Tunisu, dwie zaś pozostałe na południu.

Lotnictwo towarzyszące „osi” na skutek wąskiej przestrzeni frontu obrony i braku lądowisk zostało rozmieszczone przeważnie na wyspach Pantellerii i Sycylii. W dużym stopniu utrudniać to będzie wydanie współdziałanie z oddziałami obrony. Lotnictwu temu przypadły ponadto zadania: osłony konwojów zaopatrzeniowych oraz akcja bombardowania dalekich tyłów zgrupowania przeciwnika.

Z ugrupowania sił i odwodu gen. Arnima wynika, że z góry spodziewał się on głównego uderzenia przeciwnika od południa zakładając, że wykonawcą tego natarcia będzie VIII armia, najdoskonalsze narzędzie walki w grupie gen. Alexandra. To dziwnie błędne założenie niebawem w dużym stopniu da się odczuć na całokształcie działań obronnych „osi”, doprowadzając w finale do katastrofy.

Drugą połowę kwietnia używa gen. Alexander na rozpoznanie siły nieprzyjacielskiego oporu i przegrupowanie oddziałów do decydującego natarcia.

Wyklinowane na skutek zmiany położenia oddziały amerykańskie (gen. Pattona) oraz V korpus brytyjski (przedpole Kairouan) i dywizja francuska gen. Leclerc'a przechodzą na nowe stanowiska.

W planie natarcia gen. Alexander zamierza kolejnymi uderzeniami naruszyć spójność oporu przeciwnika zmuszając go do maksymalnego zaangażowania odwodów na rozdrobnione akcje przeciwnatarć. Następnie gen. Alexander zamierza zmontować uderzenie główne w centrum frontu. Z uderzeniem tym współdziałać będzie silne natarcie rozwijane w północnej strefie nadbrzeżnej, natomiast na południu zaznaczą się jedynie natarcia pozorne, wiążące stacjonarnej tam siły przeciwnika. W tym celu rozmieszcza on swe siły następująco:

Na północy, kierunku Bizerty obejmuje armia amerykańska zmocniona dywizją francuską (Stnegalczycy). Główny wysiłek ma ona rozwijać po osi Mateur—Bizerta, będąc gotowa przynajmniej częścią sił do interwencji ku południowi na korzyść głównego natarcia rozwijanego przez I armię.

W centrum frontu I armia wzmocniona V korpusem wykonuje główne natarcie uderzając po osi Medies El Bah—Tunis.

Na południu, kierunku Pont du Fax — Tunis obejmuje korpus francuski, zaś oś Enfidaville VIII armia, z którą współdziałać będą jednostki wojennej floty brytyjskiej. Oddziały te mają lokalnymi natarciami i ciągłą aktywnością nékać przeciwnika wpajając w niego przekonanie, że jest to główny wysiłek natarcia.

W odwodzie całości ugrupowania natarcia pozostawiały trzy dywizje (w tym dwie pancerne) VIII armii zastrzeżone w użyciu do dyspozycji gen. Alexandra.

Z wyjątkiem nielicznych grup bezpośredniego wsparcia poszczególnych natarć całość dyspozycyjnego lot-

nictwa znajduje się w rękach gen. Alexandra. Walczy ono o utrzymanie przewagi powietrznej, blokuje połączenia tyłowe przeciwnika współdziałając z flotą wojenną i lotnictwem. Wreszcie udziela ono bezpośredniego wsparcia rozwijającym natarciom. Z chwilą jednak generalnego uderzenia całość dyspozycyjnego lotnictwa sprzymierzonych zostaje użyta w decydującym miejscu boju.

Rozwinięte z końcem kwietnia i początkiem maja natarcia I armii (rejon Medies El Bab) angażują wkrótce część odwodów centralnych przeciwnika (dyw. grenad. S. S. oraz 10 dyw. panc.). Wkrótce potem wyruszające natarcia armii amerykańskiej doprowadza do zajęcia rejonu Mateur i tym samym wyjęć w kierunku Bizerty. Natarcie to angażuje znowu dalszą część odwodów przeciwnika zmniejszając je o jedną dywizję pancerną. W tym czasie — po silnym pozornym natarciu oddziałów VIII armii wspieranych w strefie nadbrzeżnej wypadami i ogniem floty wojennej — zostają nocą przysunięte trzy dywizje odwodu grupy i skierowane do Medies El Bab (marsz nocny około 180 km). Już 5 maja przy wsparciu gros lotnictwa sprzymierzonych zostają przełamane pozycje obronne „osi” w rejonie Medies El Bab, po czym w dzień później armia ta w natarciu piechoty z towarzyszeniem czołgów zdobywa kluczowe stanowiska „osi” pod Massi-mault. Cztery dyw. czołgów zmobilizowane u wyjścia St. Cyprien na froncie szerokości 15 km rozklinowują pozycje przeciwnika przebijając się na Tunis.

Po 33 i pół godzinnej walce padają Bizerta i Tunis. Wojska gen. Arnima zostały rozczłonkowane na trzy oddzielne zgrupowania. W rejonie Bizerta, dążące ku południowemu wschodowi, w rejonie Tunisu i półwyspu Cap Bon oraz na południowych pozycjach oporu pomiędzy Pont du Fax — Zaghorar — Hammamet. Dowództwo operacji wymyka się teraz z rąk Arnima.

W zorganizowanym bezpośrednio pościgu armia amerykańska oczyszczając rejon Bizerty pchnęła część swych sił pancernych ku południowemu wschodowi na Tunis. W tym czasie I armia rzuca 1 i 6. dywizje pancerne w głąb półwyspu Cap Bon, skierowując 7. dywizję pancerną do rejonu Tebourba dla likwidacji ośrodków oporu przeciwnika. VIII armia wraz z korpusem francuskim likwiduje przeciwnika rozmieszczonego na linii Pont du Fax — Hammamet.

Tak więc ostatni akt tuniskiej eskapady „osi” kończy się katastrofalną wprost klęską grupy wojsk gen. Arnima, przy czym sprzymierzonym biorą do niewoli ponad 230 tysięcy jeńców oraz całe wyposażenie techniczne armii „osi”. Z pozostałej reszły zginęło ponad 30 tysięcy żołnierzy „osi”, kilkanaście zaś tysięcy rannych zdołano przedtem ewakuować w głąb Włoch.

KORAB

(Dalszy ciąg nastąpi)

## REPORTAŻ Z WARSZTATÓW

### Ludzie w zielonych kombinezonach

Wstawał dzień. Po szarym, zadymlonym niebie wlokło się słońce ku górze ospalym swym codziennym marszem. Niedyskretne jego promienie przecisnęły się przez maleńkie okienka namiotów kładąc na mroczne jeszcze ich wnętrza kwadraty białych plam.

Stużbowy, przechadzający się majestatycznym krokiem po rejonie zakwaterowania, spojrzal leniwie na zegarek. Po chwili miłą ciszę poranka rozdarł świdrujący w uszach wrzask: p o b u d k a, p o b u d k a, w s t a w a ć!

Zakotłował się, zaroził dziedziniec obozowy. Namioty wypluwały ze swych wnętrz coraz to nowych ludzi, którzy pędzili gdzieś, popychali się wzajemnie, nierzadko obrzucając się mniej, lub więcej soczystym „słowem publicznym”. Poprzez uniwalnie, egonki przy kuchni i wiele innych niezbędnych czynności stanęły wreszcie chłopcy na zbiorce do apelu porannego i ruszyli do pracy. Zielony, długi wąż kolumny giął się, zwiął w serpentynie, stawał się coraz dłuższy — wreszcie się urwał, właśnie w chwili, gdy głowę jego pochłonęła czarna gardziel wejścia do hali warsztatowej.

Rozdzwoniły się, rozpiewały obrabiarki, strzelały snopami diamentowych iskierek aparaty spawacze, postętkiwały głucho kowadła pod ciężkimi uderzeniami kowalskich młotów. Zarwała praca. Co pewien czas wyłaczano z hali dźwięki, rozparte wy-

godnie na szeroko rozstawionych, gunowych kołach. Na ich miejsce przychodziły nowe, by przejść przez ręce polskiego mechanika, a potem ruszyć w świat i grzać basową piśnią sprawiedliwości. Złwawo wyjeżdżały z warsztatów Dodge, Fordy, Chevrotety z powymienianymi częściami, śmiejąc się do słońca pięknie malowanymi błotnikami i maskami silników. Polski rzemieślnik kuł, wymieniał, spawał, choć pot zalewał mu niejednokrotnie oczy, a słońce przepalało nóg do bólu.

Szły długie transporty aut i dział do Afryki, do Rosji, na Daleki Wschód, by spełnić swoje zadanie w zmaganiach wojennych.

Wściekle tarzały się w swych łożyskach koła maszyn, jak zwierz uwieczony w ciasnej klatce, paryskali wokół kroplami oliwy pędząc ciągle naprzód—byłe przedzie, byłe dalej... .. a nad całością pochylone, pełne skupienia twarze ludzi w zielonych kombinezonach...

Gdzieś z końca sali ktoś zaśpiewał znaną piosenkę wojskową:

Wojenکو, wojenکو  
cóżes ty za peni... .

Duży ścienny zegar krótkim psyknięciem wyraził swoje zdziwienie i ostrzegł, że niezadługo zaczną wybijać godzinę, a potem godząc się z rezygnacją na wszystko powtarzał znowu monotonnie swoje... tak, tak... tak, tak... .

K. Jewłaszewicz





# Pomiędzy ROSJĄ a NIEMCAMI

(Dokończenie z Nr 25)

Myśl o związku państw położonych ogólnie biorąc między Rosją a Niemcami nie jest bynajmniej nowa — przeciwnie, była dość powszechną i zgodną arobota przyjmowana i nie realizowana. Istota tej rozbieżności między tak zwaną „myślą lewą” a „myślą prawą” a wykonaniem leży w tym, że w danym wypadku oczywiście wymaga ogromnej i to twórczej pracy całych narodów.

Związek tej natury nie mógłby żyć samą myślą o obronie, musiałby posiadać także wspólne cele polityki pokojowej, a nadto musi wymagać od swych członków daleko idącej ofiarności z szeregu ambicji i potrzeb własnych na rzecz potrzeb zbiorowych. Jedno i drugie jest trudne, jedno i drugie odkłada się na później, gdy groźba zniszczenia nie wydaje się zbyt bliska. A tak przecież ufinie żyliśmy przed wojną!

Grupa państw, o których można myśleć z tytułu ich geograficznego położenia to: nadbałtyckie — Litwa, Łotwa, Estonia, środkowe — Polska, Węgry, Czechy, przy najbardziej koniecznym tu dołączeniu niepodległej Ukrainy i Białorusi i południowe — Rumunia, Jugosławia, Bułgaria. Nie można zapominać, że tak szeroko zakrojona grupa, oprócz łączącego je niezbezpieczeństwa ze strony Rosji czy Niemiec, ma cały szereg spraw dzielących jej, spraw spornych. Są to wzajemne pretensje terytorialne, są to zadawione spory narodowe, są to wreszcie wiekowe nieraz nieufności i na pewno trzeba ogromnego wysiłku, żeby elementy cementujące przeważały nad elementami rozpraszającymi. Ale również na pewno łączy te wszystkie kraje przynależność do kultury zachodnioeuropejskiej, a łączy je może nadto szczególnie silnie: dziejowe zadanie ugruntowania w tej części Europy nowej fazy kultury europejskiej — nowoczesnej kultury wiejskiej.

Dotychczas, jeżeli w ogóle uznawano konieczność istnienia więzi pokojowej w takim związku państw i próbowano wymienić jakieś długotrwałe, wspólne cele — doszukiwano się ich w płaszczyźnie gospodarczo-handlowej lub we wspólnie rasowej. Martwiono się nieraz, że kraje rolnicze częściej są handlowymi konkurentami, niż wzajemnymi klientami i biadano nad brakiem rasowych pokrewieństw. Łączności kulturalne sprawdzano do wąskiego odcinka podobieństw w trybie życia burżuazji i do odwiedzania swoich wytworów handlowych.

Naturalnie, że w tak dużej grupie państw sprawy gospodarcze układają się będą rozmaicie — czasem łącząc, czasem odzielając, a zatem nie mogą one odegrać roli, o jaką chodzi. W sprawach rasowych mamy wyraźne różnice, nie do czynienia z kilku różnymi szczepami. Wydaje się jednak rzeczą dość pewną, że na wspólnocie pochodzenia trudno jest opierać zgodność marszu ku przyszłości. Natomiast w sposób oczywisty łączy te wszystkie kraje podobna faza rozwoju społecznego: przewaga ludności rolniczej na własnych drobnych gospodarstwach, opóźnienie rozwoju przemysłowego i jawna konieczność wytworzenia i ugruntowania nowego stylu życia współczesnej europejskiej wsi, której za czasów w dawnych tradycyjnych formach

W krajach Europy zachodniej ta potrzeba nie doszła niejako do głosu, została wcześniej zepchnięta z widowań przez gwałtowną urbanizację i uprzemysłowienie — w Rosji została ona stłumiona w zarodku przez bolszewicką kolektywizację i przez fetysza maszynizmu i dlatego tu długie leczenie chorego stanu wsi bliżej musiało poprzedzać dalsze kroki naprzód.

Istnieje mniemanie, że interesujące nas rolnicze kraje Europy środkowej muszą powtórzyć rozwój krajów zachodnich i muszą szybko zmienić swój ludnościowy układ, a zatem całe zagadnienie zmian w kulturze wsi jest przejściowe i krótkotrwałe. Gdy pozostanie przy rolnictwie jakieś 25% ludności, tak jak w Belgii czy w Niemczech, to stanie się dla narodu sprawą drugorzędą, jak będzie rozwiązywana kwestia życia kulturalnego wsi.

Błędne są jednak nadzieje, że ewolucja krajów rolniczych dziś musi odbywać się tak samo, jak odbywała się przed pół wiekiem na zachodzie. Przemysł nowoczesny, skrajnie zmechanizowany, wymaga wiele kapitału inwestycyjnego, natomiast pochłania mało ludzi. Kraje rolnicze uprzemysławiając się w skali własnych potrzeb nie doznają wielkich przemian w składzie ludności. A i ten stopień uprzemysłowienia nie tak rychło będą mogły osiągnąć, że względu na swe ubóstwo kapitałowe. Dopiero wielki przemysł, obliczony na eksport, mógłby dać poważną falę odpływu ludności ze wsi, ale warunki powstawania takiego przemysłu są coraz trudniejsze. Wszystkie niemal zakątki świata usiłują stwarzać przemysł własny, a dotychczasowi ich dostawcy bynajmniej nie zamierzają łatwo ustępować rynku, który nawet dla nich samych staje się za ciasny.

Należy też dodać, że przemysłowo powstający, lokowany zapewne w znacznej części na wsi, mniej zmieni charakter ludności, niż dawniej, gdy się trzymał miast. Wreszcie wszystkie dawne przemysłowo-bankierskie cechy organizacyjne w produkcji fabrycznej jak i styl życia proletariacko-robotniczy w osiedlach fabrycznych ostatniego wieku, przestaną zapewne być wzorem. Inne osiedla i inny typ życia nawet przemysłowej ludności zapowiadają się tam, gdzie dotychczasowa urbanizacja „jeszcze się nie ugruntowała.

Jeżeli przeto przyjmujemy, że kraje z utrzymaną dotychczas znaczną przewagą ludności rolniczej z podobną przewagą długo pozostaną — mimo postępu uprzemysłowienia — i przyjmujemy także, że naturalną cechą życia wszystkich narodów będzie coraz bardziej masowe przeżywanie zdarzeń życia zbiorowego i że do tego winna być dostosowana ogólna organizacja życia nawet społeczności rolniczych — to zgodzimy się łatwo, że należy przewidywać w rolniczych krajach Europy wytworzenie się nowej, różnej od dotychczasowych, kultury wiejskiej.

I ta właśnie nowa treść kulturalna grupy narodów wspólna winna stać nowic twórczą, aktywną więź nowego związku państw obok więzi konserwatywnej, wynikającej z potrzeby wspólnej obrony.

Naturalnie, że warunkiem pierwszorzędym stać się musi swoista dojrzałość mas wiejskich do spełnienia przypadającej im dziejowej roli. Dojrzałość ta z jednej strony wyrażać się będzie gotowością i wolą podjęcia przez lud wiejski głównej części odpowiedzialności za los państwa, z drugiej strony istnieniem takiego stanu dynamicznego wsi który możnaby określić, jako silny rozpęd rozwojowy tej grupy społecznej, która miałaby stworzyć nową formę kultury.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że dwadzieścia lat po poprzedniej wojnie były okresem wspaniałego rozwoju ludu wiejskiego we wszystkich prawie obchodzących nas tu krajach. Powszechnie przeżyty renesans narodowy, usunięcie nacisku obcej administracji, olbrzymie rozpowszechnienie oświaty — stworzyły warunki szybkiego dojrzewania świadomości obywatelskiej. Dołączyły się do tego wielkie przeobrażenia gospodarczo-społeczne: ostateczna likwidacja pozostałości pańszczyznianych, upowszechnienie i ugruntowanie indywidualnej własności, prawie wszędzie radykalna reforma rolna (Węgry i Polska stanowią smutne wyjątki). Wszystko to wprowadziło wieś nie tylko na drogę realnego postępu gospodarczego, ale przede wszystkim dało jej przeświadczenie, że ma możliwość i swobodę organizowania się i przekształcania życia, że ma przed sobą otwartą przyszłość.

Ten poryw rozwojowy ludu wiejskiego jest na pewno szczególnym zjawiskiem naszych czasów i pozwala budować najlepsze nadzieje. Witać go należy tym radośnie, że przychodzi w czasie, gdy inne grupy społeczne — u nas i gdzie indziej — nie zdradzają większej dynamiki postępu. Obserwacja grup młodzieżowych daje zawsze najlepsze wskazówki.

Można dziś śmiało powiedzieć, że młodzież robotnicza, oszołomiona ciosami karykaturalnej realizacji socjalizmu sowieckiego i nazistowskiego, utraciła wątek ideologiczny, doznaje załamania ciągłości programowej, czuje się raczej bezradnie i na pewno jest daleka od poczucia, że nieświe żółtych na czele pochodzącej ludzkości. Również w mętym stanie ideologicznym i na rozdrożu działań znajduje się młodzież inteligentna, zwłaszcza może u nas zjawisko to jest bardzo charakterystyczne. Nasza młodzież inteligentna, tak zresztą jak i cała grupa inteligentna, jest w większości swojej fizycznym i duchowym spadkobiercą „narodu szlacheckiego” i pretenduje do wszelkich jego uprawnień. Ma przekonanie, że tylko na niej się skupia odpowiedzialność za losy narodu i że ona jest jedynym uprawnionym tych losów twórcą. Stąd też rozpowszechniona bardzo w tej grupie postawa „wierzyiciela społecznego”, któremu ciągle za jego wielką rolę tak wiele się należy.

Zgodnie z tym ukształtowało życie w Polsce z wyraźną przewagą interesów mieszczańsko-urzędniczo-inteligentnych, grupy nielicznej i dobytej biernie i w rezultacie obniżono znacznie dynamikę społeczeństwa. Aż do wybuchu wojny nie mogła też inteligencja nasza zrozumieć, że rosnące upowszechnienie przeżyte obywatelskich nie pozwala na dalsze

zardrosne utrzymywanie kierownictwa narodu wewnątrz zamkniętej, inteligentnej grupy, że taki stan grozi martwością.

Dodać trzeba, że fałszywy urok czysto technicznej cywilizacji każe mniemać znacznej części polskiej młodzieży inteligentnej, że powstawanie kierunków ideologicznych, jak i zorganizowanie pracy narodu — to raczej zagadnienia techniczne, osiągalne przez inżynierskie chwytły. Stąd oczywista jałowość ideologiczna, stąd trudność rozumienia dziejowych procesów socjologicznych i niedocenywanie podstawowego dla przyszłości Polski zjawiska — ukazania się świadomej mas ludu wiejskiego na obszarze życia narodowego. A jest to na pewno największy przewrót, jaki się w czasie istnienia Polski Piłsudskiego dokonał.

Konsekwencją tego przewrotu musi być rozbrat ze stanem oderwania inteligencji od masy ludowej, rezygnacja z pretensji do nadrzędnego stanowiska w narodzie, a proste przyjęcie z pomocą, zespoleńcie się z tą młodą siłą wsi, która na najbliższy okres życia narodu najbardziej uosabia jego masę, jego dynamikę i jego idealizm i która będzie zdolna nowy okres kultury zapoczątkować.

Choć burza wojenna sprzyja kielkowaniu nowych form — to jednak koncepcja innego stylu życia całej grupy narodów nie może się łatwo zrodzić. W zarysowanej postaci związku państw rola jego głęboko zmieniałyby życie. Uzyskanie więzi między narodami o charakterze ideowo-kulturalnym wymaga olbrzymiej pracy przygotowawczej i porzucenia innych elementów społecznych u naszych sąsiadów, niż te, które rozważałyby zbliżenie między narodami tylko w płaszczyźnie kupieckich tranzakcji. Rola Polski musiałaby być pierwszorzędną nie tylko dlatego, że w tej grupie jesteśmy narodem największym i szczególnie eksponowanym politycznie, ale także dlatego, że mamy najwięcej warunków realnych, aby zajęć produkujące stanowisko w sprawach ideologii związku, aby przygotować siebie i współpartnerów do tych wielkich przemian.

Wreszcie zdaje się być niewątpliwe, że w zadaniu tworzenia nowego typu kultury ludowej właśnie nasza wieś będzie musiała podjąć największe obowiązki. Przy swej nie utraconej zdolności do zdrowego idealizmu i przy wspaniałej fazie rozwojowej, w jakiej się znajduje, a nasz lud nie tylko warunki do odbudowania państwa, ale także do stworzenia mu potężnego grupowego oparcia w gronie sąsiadów, aby każdej następnej burzy mogło się spokojnie przeciwstawić.

Zaw.

## Uwaga!

Dnia 31. V. Poczta Polowa 117 doręczyła do Biura Pomocy R. W. i J. W. listy polecone: Nr 1097 zawierający „Postal Order” na sumę 6 D.L. oraz Nr 1098 na sumę 5 szyl. 10 bez wskazania nadawców i celu przesyłek. Nadawcy wspomnianych listów poleconych proszeni są o podanie swych nazwisk i adresów oraz celu, na jaki kwoty te zostały przekazane.



# Karnak

Przedpotopowe rozklekotane auctięta zabierają nas z przed hotelu. Cień pachnie jeszcze chłodem i ziemia jest w nim ciemna od rosy. W słońcu już jednak porządnie gorąco. Trzęsiemy się tymi autami po wąskich, sypkich od czarnego kurzu drożkach, między malachitowe polka cudownie bujnych egipskich pszenic i tubinów, między — z suchego błota ulepane — bezdache chaty, palmy, ploty.

Po dwudziestu minutach jazdy zastępują nam drogę złote pylony karnackiej świątyni. Wysiadamy — i nagle ma człowiek wrażenie, że się zmienił w mrówkę. Cóż to za rozmach nadludzki! Ruiny Karnaku, mimo że są bezsprzecznie ruinami, dają jeszcze dokładne wyobrażenie o całości. Przesztrały perspektyw, złote przestrzenie dziedzińców, piętrzące się tu i ówdzie skupiska poszczególne, różnym bogom poświęconych świątyni, sale, kolumnady, aż po nieruchomą, pełną mroźnej wody, świętą sadzawkę — wszystko to leży przed oczami pokonane przez czas, rozsunięte przez zżerawą ziemię, ale piękne i zrozumiałe.

Nasz przewodnik Hasan syje jak z rękawa imionami bogów, bogiń, faraonów. Wie, ile tysięcy lat przed Chrystusem budowane było to a to. Ile stóp wysokości ma ten obelisk, ile waży tamten zgruchotały Ramzes, wie — czy świątynię tu budował Seti I czy Thomes III. Hasan tyle wie, że człowiek przestaje wiedzieć to, co sam wiedział dotąd... Ma po pewnym czasie zakalek w móżgu i chwytą już piątę przez dziesiątę. Przystaje więc słuchać i tylko patrzy.

Oto aleja sfinksów. Ciągnęła się ongiś od Karnaku aż do Teb, złączonych w dali ścianą zamglonych wzgórz, przez po tamtej stronie Nilu. Każdy kondukt pogrzebowy każdego faraona włókł swój żalobny przepych alabastrowym korytem tej alei, między nieprzeliczone wówczas, grzeźnie na przeciw siebie leżące, „naturalnej” wielkości, sfinksy. Dziś jest ich już ledwie kilkadziesiąt.

Albo te obeliski. Dwa z nich, całe białawo zapisane hieroglifami, sterczą ku niebu iglicą płaską, kanciata. Bóg jeden wie, jaką siłą dźwignęli ich cielska na cokół. Hasan mówi, że do dziś jest to ich tajemnicą. Obeliski te są monolitami. Nilem spławił je, gdzieś aż z pod Asuanu, przykaraskali tu, no i postawili. Obelisków takich było tu kilka. Dwa stoją, trzeci wziął sobie na pamiątkę Napoleon do Paryża i dał za Karłowi jakiś zegar na wieży, a czwarty runął z cokołu w czasie tego apokaliptycznego trzęsienia ziemi, po którym mało co ostało się tu w całości. Runął — i jakimś cudem nie rozprysnął się w kawałki. Hasan kaže nam przyłożyć ucho do szerokiego końca iglicy. A sam daje obeliskowi przetyczka w nos. I wtedy coś dzieje się w kamieniu. Długi, metaliczny, obrujący brzęk przepływa jego ciałem. Nadechodzi ociągliwość, z jakiejś surrealistycznej wprost dalekości, chłodny, tajemny, tajemniczy... Ile tysięcy lat temu ten brzęk, wkłękły w popielaty kamień? A może więcej niż tysiące lat? Gdzieś, daleko stąd — nie wiem gdzie — ale tam, skąd go Nilem przywieźli, pod warstwą gorącego piasku, w starych nietkniętych myślą ludzką szdach, spał może od chwili stwo-

żenia? Ani ludzie o nim nie wiedzieli, ani on sam o sobie nie wiedział... Ale możliwość tego zaczerpniętego wibrowania tała się w nim od samego początku początków i wtedy, kiedy ity nie zdążyły jeszcze obeschnąć, po niedawno z łądów odgarniętej wodzie i wtedy kiedy pra-pra jaszczury włokły zębate ogony lasem olbrzymich krzypów i paproci... Leżał gdzieś w ziemi i milczał. A dziś — wystarczy przetyczek w nos! Nie... To bardzo przykre, nadto familiarne... Chodźmy stąd..

W kolumnadzie karnackiego hipostylu cisza panuje niesamowita. Hasan mówi, że budował go Seti I. Dobrze. Nie mam nic przeciw temu. Bezruch i martwość gładkich kolumn, które wybiwszy się na kilka pieter w górę, wywinęły u szczytu kwiatami lotosów — jest teraz taka zupełna, laka majestatyczna, tak doskonała, że człowiek bezwiednie zaczyna szepać i ostrożnie stąpa. Tak. Jest w tej kolumnadzie coś, czego nie wolno pomyśleć. Nie szukam słów, aby to określić, bo wiem, że ich nie znajdę. Ale nie odczuć tego — niepodobna.

Do obłej gładkości kolumny — tam, wysoko — przyswarły dwie lotne, cudownie uśmiechnięte postaci. To jakiś faraon i jakaś bogini. Choć oboje są już jak zjawa — jak spełzy, zwietrzały sen, przyleply okruciami barw do kolumny — masz wrażenie, że oboje w tym dopiero momencie, kiedy je wzrok twój tknął — znieruchomieli. „Dwie lotne, szleszczące

ważki przypadły właśnie do kamienia. On ma pęk turkusowych lotosów w ręce i szaty rozwiane drobnofaltzistym pośpiechem — ona — cała jak kokon spowita w hieratyczność swej powściągliwej boskości, uśmiecha się jednak smagłym, morelowym uśmiechem i odbiera kwiaty ręką, o wyraźnie białawych paznokciach. Ani kwiaty, ani uśmiech nie zwiędły przez tysiąclecia, tylko trwa — jak tam, wysoko w górze, zawsze tak samo laskawe i zawsze tak samo utrokiwe.

Nie wszystkie jednak boginie są takie. W świątyni boga Ptah, w ciasnej, bocznej świątyni, mieszka dziewczęca bogini życia, Sakhmet. Mieszka tam prawie po ciemku. Przez bardzo wysoko w kamiennym suficie wycięty, nieduży kwadrat, światło dzienne sączy się tu ociągłiwe i z trudem. Pono raz tylko w roku trafia w ten otwór słońce, by dźgnąć promieniem kocią głowę bogini. Nie zesłam się jednak z tą chwilą. Opiął mnie na wstępie zastały, podwodny mrok, chłód i bezruch. Nie ma tu nic prócz czterech nagich ścian, bez rzeźb, bez hieroglifów. Ale z pod jednej z nich, rusza wprost na ciebie cudownie smukła, bazaltowa, w miejscu stojąca postać. To bogini Sakhmet. Szybkością tego nieruchomego chodu lekko ku przodowi pochyłona, wpatrzona małymi oczami lwicy w bezkres, wyrwa się ścianie od wieków i nie ruszając się z miejsca idzie — idzie — idzie nieublagana, tratująca ślepo pustkę, czas, przestrzeń... „Kluc-

zycia” ścisła mściwie w jednej, mocno do hoku przywarłej ręce, podczas gdy druga przypiera do czarnego ciała długą lodgę lotosu, którego czarny, bazaltowy kwiat rozkwita płaskim kielichem między drobnymi piersiami bogini. Ow bazalt — wilgotny jeszcze miejscami niezupełnie zmatowiałym polerunkiem — odcina się od tła chropowatych ścian obco i ponuro, tak jak obcy i ponury jest ten martwy koci łeb, pozbawiony zwykłego tu wszystkim kamieniem — uśmiechu. Nie. Bogini Sakhmet nie uśmiecha się wcale. Ona nie ma czasu na uśmiech. Ona idzie! Aż dziś, że się przed takim chodem, przed tak niecofionym stąpieniem nie wzorowały dawno kamienne ściany świątyni i że bogini Sakhmet — jak Los nieublagana — nie przemierza swym sztywnym, kamiennym krokiem słonecznej przestrzni świata. Jakże strasznie byłoby ją spotkać wtedy, w jakiejś upalnej, nieruchome południe, olbrzymią, samą jedną, tratującą zielone zboża, gaje, trzciny, tak samo zaśpieszoną, tak samo nieublaganą i zawsze tak samo zapatroną w bezkres. Gdyby mnie był kto kiedy spytał, czego boginią ma być ta cudownie smukła, czarna postać, byłabym ją nazwała boginią Czasu, tego czasu, który jest — choć go właściwie nie ma — i który — choć go właściwie nie ma, wedle zapowiedzi Apokalipsy — przecie kiedyś potrafi przestać być. Nie w tamtych, emblematami strojnych bogach i boginiach, nie w ich wadze, powadze i ogromie, dał mi się odczuć nieuchwytny przydech owej przynawanej im przez tamte czasy boskości. Jedynie od smukłej, cudownie prostej, czarnej Sakhmet, powiało ku mnie czymś, naprawdę jakby już z Tamtego Brzegu.

Beata Obertynska

## Przemysł wojenny w Polsce



Nasz przemysł wojenny często spotyka się z zarzutem: „Nie mieliśmy sami dostatecznej ilości broni, po co więc sprzedawaliśmy broń za granicę?”

Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Jak wiadomo, Polska jest krajem ubogim w surowce, zwłaszcza — niezbędne dla produkcji wojennej. Chcąc więc kupować te surowce oraz potrzebne nam obrabiarki trzeba było czymś za nie płacić. A płacić trzeba nie tym, czego my mamy nadmiar, lecz tym, czego potrzebuje druga strona. Tymczasem układ naszej gospodarki był taki, że mogliśmy zaofiarować jedynie to, co sprzedawać musieliśmy — jak już o tym pisaliśmy — grubo poniżej własnych kosztów. A i tego sprzedawać mogliśmy tylko ilości ograniczone. W tych warunkach jedyną więc możliwością zdobycia walut na zakup koniecznych do produkcji broni surowców było sprzedawanie tego, czego zagranica potrzebowała, tj. broni. Mieliśmy więc dzwiny paradosy. Jedynym sposobem, by uzbrajać się samemu, było część wyprodukowanego uzbrojenia sprzedawać za granicę.

Co prawda mogliśmy więcej niż to miało miejsce korzystać z własnych źródeł surowcowych. Nasze złoża rud

żelaznych były ubogie w żelazo, lecz mimo to mogły być szerzej wykorzystane. Wymagało to jednak znacznych wkładów kapitału, którego nie mieliśmy i wielkiej ilości czasu. Prace w tym kierunku były już w ostatnich latach daleko posunięte, lecz dużo jeszcze pozostało do zrobienia. Może, przyznajmy — ze względu na różne opory — tempo tych prac nie było takie, jakie powinno być. Ale nawet w razie ich pełnego powodzenia i tak znaczną część najcenniejszych — a więc i najdroższych — surowców musieliśmy sprowadzać z zagranicy.

Ponadto wchodzili w grę i względy ekonomiczne. Przemysł wojenny — jeśli nie ma zawieszony w czasie wojny — musi być zawsze obciążony na produkcję znacznie większą niż ta, jaką może wytrzymać budżet pokojowy. Ma to miejsce we wszystkich krajach, a bardziej jeszcze w kraju takim jak Polska, który miał słaby przemysł ogólny, a tym samym niską możliwość rozszerzenia przy jego pomocy swej produkcji w czasie wojny. Jedyną więc sposobem przetrwania części kosztów utrzymania, szerszej niż własny budżet na to zezwala rozbudowanego przemysłu wojennego na obcych, to sprzedaż broni i amunicji za granicę. W ten sposób po-

stępowały zawsze wszystkie fabryki przemysłu wojennego całego świata — nawet krajów tak bogatych jak Stany Zjednoczone, Anglia, Francja, a przed 1914 r. i Niemcy. Każde bowiem działo, każdy pocisk, który kupuje zagranicą przynosi tak niezbędne środki na utrzymanie naszych fabryk w stanie i ilości potrzebnej na czas wojny oraz na szkolenie szerokich kadr inżynierów i pracowników przemysłu wojennego. Zezwala to na obniżenie udziału budżetu państwowego w utrzymaniu gotowości wojennej własnego przemysłu wojennego, a oszczędzone w ten sposób sumy można obrócić na wyrób własnego sprzętu. Im więcej zatem sprzedawaliśmy broni za granicę, tym więcej mogliśmy produkować broni dla siebie.

Reasumując można powiedzieć, że rozwój polskiego przemysłu wojennego na wywóz był błędem — jak chcą niektórzy — ale wprost przeciwnie, jedynym\* dla nas sposobem zbrojenia się i że wysiłkiem nasz na tym polu był istotnie bardzo znaczący, świadczący w sposób wyraźny o naszej woli stawienia czoła każdemu, kto chciałby targnąć się na granice Rzeczypospolitej.

Dr Tadeusz Felsztyn

\* Pogląd ten uważa redakcja za dyskusyjny

## Poznałem ją w Bagdadzie

# MISS PENNY PENIZEK

— Miss Penny Penajzik...

Przedstawiamy się. Na tapczanie, w jednym z niezliczonych redakcyjnych pokojów „Orla Białego” siedzi młoda dziewczyna w niebieskim mundurze i złączonych literach „US” na kołnierzyku. Podając rękę na przywitanie spogląda z zaciekawieniem w oczy każdemu z nas. Jednocześnie głośno prostuje:

— Nie Penajzik a Pieniążek i nie Penny a Elżbieta — Elżbieta — powtarza ze śmiesznie obcym akcentem. W Ameryce nazywają mnie Penny, bo Penny to po „amerykańsku” — money — pieniążek. Moje nazwisko przelożyli na „amerykańskie” imię i nazwali Penny, a Penizek to Pieniążek...

— Pieniążek? Czy pani nie miała krewnego? Wie pani — jeden z bohaterów kampanii tubercyjnej, podchorąży Pieniążek...

Nie, nie wie o tym. Ale słucha z zaciekawieniem o swoim nieznanym być może krewnym.

— Ja urodzona (tak właśnie powiedziała) w Indianapolis w stanie Indiana, ale ojcowie moi z Krakowa...

...z Krakowa... Objasniamy, że po polsku miasto to nazywa się Kraków, że przez szereg wieków było stolicą Polski... Penny słucha wszystkiego z namiętnością przysłuchującymi oczami. Penny jest zawstydzona. Nie wiedziała tylu rzeczy o Polsce. Tłumaczy się więc:

— Moi ojcowie...

— Rodzice... — poprawiamy.

— Jo, moi rodzice...

— Czy pani ze Lwowa?

— Nie, z Krakowa... — przepraszam — z Krakowa. A dlaczego?

— Bo pani mówi, nie „tak”, a „jo”.

— A... bo rodzice... dobrze powiedziały... Rodzice tak mówią. Po „amerykańsku” — „yes”, po polsku — „jo”.

— Po polsku — „tak”.

— „Tak”? — powtarza — dziękuję... I zaraz patrzy w oczy. — Dobrze powiedziałam?”

— Dobrze.

I opowiada dalej. O rodzicach, o tym, że pochodzą ze wsi (to dlatego może Penny mówi „jo”) z krakowskiego, że rodziców do Ameryki wygnana nędza, jaka była w Polsce pod okupacją. Mówi o sobie, o swojej pracy w szpitalu. Jest siostrą szpitalną z zawodu, kocha swoją

pracę. — „To tak przyjemnie, wy pewno nie wiecie, robić dobre la chorego...” — Mówi o tym, że szukała Polaków w Egipcie, w Palestynie, ale dopiero tu spotkała tylu żołnierzy polskich...

Penny nie przyszła do redakcji sama. Przeprowadziła ze sobą trzy koleżanki, też Polki z armii amerykańskiej — ale dwie z nich w ogóle nie rozumieją po polsku. Właśnie wchodzi do pokoju trzymając w rękach angielskie egzemplarze „Orla”, wydane specjalnie dla Anglików. Zjawia się po chwili na stole kawa, przynoszą ciastka z gospody, ktoś wyciągnął butelkę wina... I nie wiadomo kiedy — samo tak się złożyło — trio koncertowe zaczęło grać „Rose-Marie”... Penny — Penny bardzo lubi muzykę — słuchała uważnie, nucąc półgosem. Potem Jasia zaczęła śpiewać piosenki. Pytaliśmy właśnie Penny, czy pamięta, jak się nazywali Polacy, którzy bili się za Amerykę. Penny, już bez zażenowania, z dumą szybko odpowiada: „Kościuszko i... i Pułaski”. I właśnie wtedy Jadzia zaczęła mówić wiersz. Penny nie słucha z początku — wiersz, to zapewne nie ciekawe i w ogóle nie rozumie. Jadzia tak szybko mówi po polsku... ale, ale powoli Penny przestaje pić kawę, trzyma w ręce filiżankę i patrzy, jak urzeczona. A Jadzia mówi wiersz „Dziękuję” Laskowskiego. I słucha Penny, jak Jadzia mówi o Kraju, o Tobruku i o Rosji, o cierpieniach i o nienawiści, o zemście i o karze...

A kiedy Jadzia mówi: „A kiedy skończymy i Wódz zamelduje, Polska jednym odpowie ci słowem: Dziękuję”... odrywam wzrok od recytatorki i... popatrz, jakie to śmieszne... Penny, przecie jesteś dorosła... i właściwie obca, właściwie „Amerykanka”... — Penny płacze, jak małe dziecko płacze...

— Dlaczego Penny?

— Nic... nic... ja przepraszam — mówię, ale... przepraszam — powtarza — to tu... — dotyka dłonią serca — tu, nie wiadomo czemu, zabolęło...

... Chodziliśmy z Penny po mieście, do „Braziliu” na kawę i do „Szwajcarskiej” na lody. Zawsze kupą — Penny i nas trzech, czterech... Kiedy Penny spotykała na mieście Amerykanów, machali do niej ręką i krzy-

czeli: „Hallo!”, a Penny swoim dziewczynym głosem odpowiadała: „Hallooo”... Taki to amerykański zwyczaj...

Miałam dla Penny niespodziankę. Bo to tak: Penny jest panną i do tego ciekawą panną i (pewniadała to nam w największej tajemnicy) szalenie jest ciekawa, kto będzie jej mężem... Kłótego wieczoru więc, w największej tajemnicy, zaprowadziłam Penny do „fatafata”, arabskiego czarownika, który opieczę wypędzania „dybuka” z duszy kobiety, umiał przeprowadzić przyszłość. Dowiedziała się więc Penny, że maż jej będzie blondynem, Polakiem (!) i... Przepaszam, obiecałam Penny dobowanie tajemnicę... Wtedy właśnie, kiedy szliśmy do „fatafata”, zdarzyło się to nieporozumienie. Mianowicie, jak przystało na dobrze wychowanego młodzieńca, szedłem po lewej stronie niewiasty. Penny zaczęła przechodzić na moją lewą stronę. Peniważ jestem dzielnym, przeszedłem znowu na swoje miejsce. Penny nie dała za wygraną. I tak mijaliśmy się w ciągu pół godziny. Penny czasem już dała wazę za wygraną, ale nagle, gdyśmy przechodzili na drugą stronę ulicy, zaczęła na nowo buntować się. Wreszcie wyjaśniło się. W Ameryce mężczyźni chodzą z kobietą trzymając się zawsze strony jeźdźni (wiedoczenie ochrona od wypadku). Trudno mi było od razu nauczyć się tego i Penny — o dobra, wspaniałomyślna Penny — zgodziła się na kompromis.

Od tego czasu chodziliśmy zawsze pół dnia po „amerykańsku”, a pół po polsku.

Penny mówiła z nami dużo, może nawet za dużo, jak na dziewczynę. Ale miało to swoje wytłumaczenie. Penny chciała jak najlepiej nauczyć się po polsku. Mówić nie „jo” a „tak” i nie „dobre”, a „dobrze”... I Penny poza tym jest bardzo ciekawa, pyta więc stale o Kraków i o Warszawę i „jak to tam było w Polsce przed wojną?” i „czy to prawda, że Kopernik był Polakiem?”...

A w dwa dni później — było wtedy gorące południe — Penny dostała propozycję wystąpienia w radio i przemawiania do żołnierzy polskich. Penny straszliwie zarumieniła się i zaczęła tłumaczyć.

— Ja... ja właściwie... ja przecież źle mówię po polsku.

— Właśnie dlatego — odpowiedziano. — I... i co ja powiem?

— To, co pani czuje. To, co pani chce powiedzieć.

I Penny — mój Boże, przyjęła to tak, jakby dostała co najmniej kontrakt do Hollywood. Penny napisała sobie tekst i cały dzień uczyła się prawidłowego czytania. Nie pomogły tłumaczenia, że Amerykanka nie musi dobrze mówić po polsku. Penny tłumaczyła uparcie: „Ale Polka musi” — i uczyła się. Następnego dnia Penny napisała długi list do matki, ubrała się w czysty, nowiutki mundur, przypięła dumne „US” do kołnierzyka, wzięła jasną chusteczkę do ręki i na godzinę przed audycją pojechała do studia. Ale i tam po raz setny, dwusetny, powtarzała tekst. W pewnej chwili nagle zapytała:

— Jak pan myśli, czy tam w Indianapolis mnie usłyszą? — matka, znajomi? — Tak, na pewno usłyszą.

I Penny uczy się dalej. A kiedy

pokazuje się czerwone światełko, audycja rozpoczyna się, Penny podchodzi do mikrofonu i na dany znak speakera zaczyna czytać. Pierwszy mówi o sobie, o Polakach z An eyki, o tym że choć nie wszyscy mówią po polsku, choć nie wiele o Polsce wiedzą, może, jednak czują się Polakami. Głos Penny drży, gdy mówi: „Chcę urodzić się w Ameryce, jednak moją ojczyzną jest Polska... Penny wie — słuchają ją teraz matka, siostra Indiana, cztery i pół miliona Polaków w Ameryce i 50 milionów w Kraju...”

Wrócamy. Jest ciepły wieczór. Jutro rano Penny wyjeżdża do pracy w szpitalu — na południe. Milczymy. Penny myśli pewnie o radzie, o matce, ja — nie wiadomo właściwie dlaczego — o Polakach z Indiami polskimi. W pewnej chwili — idziemy właśnie przez most nad Tygrysem — Penny nagle zatrzymuje się patrząc z dziwnym wzruszeniem, mówi:

— Wie pan? To takie dziwne. Nieumim tego powiedzieć, ale... ten wiersz Jadzi, może nie tyle treść ile siła jej uczucia wtedy, wie pan, zrozumiałam, że... „US” to na kołnierzyku, ale tu w sercu jest jeszcze ponadto „Poland”...

Wczoraj dostałem list od Penny. Piszę o sobie, o swojej pracy w szpitalu, że systematycznie uczy się polskiego z koleżankami razem — tymi właśnie trzema, co były w redakcji. I prosi, bardzo prosi, żeby do niej pisałi wszyscy znajomi, wszyscy, którzy chcą napisać. Podaje adres: „Lt. Penny Penizek 21 st. Station Hospital APO 795”. Prosi pozdrowień wszystkich — tych, z którymi mówiła i tych nieznanymi, do których mówiła przez radio. A w końcu listu znajduje się mały dopisek. Raczej zapytanie, znane nam pytanie Penny: „Czy nie ma w liście błędów? Czy dobrze napisałam?”

Ludwik Brzeski

## RADIO BAGDAD

4.VII. niedziela, godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Audycja z okazji święta Niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn.

5.VII. poniedziałek, godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Plk dr E. T. Burke. „Słońce — wróg Nr 1”.

3) Muzyka i piosenka.

6.VII. wtorek, godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Tygodniowy przegląd wydarzeń w oprac. M. Romana. 3) Fragment z „Pana Tadeusza” — Astronemia Wojskiego.

4) Muzyka i piosenka.

7.VII. środa, godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Chopin. Koncert f-moll (płyty) w wyk. A. Rubinsteina z tow. londyńskiej orkiestry symfonicznej (część I-Allegro).

8.VII. czwartek, godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Koncert orkiestry wojskowej pod dyrykcją H. Warsa. W programie muzyka jazzowa.

9.VII. piątek, godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) „Na krakowskiem rynku...” Słuchowisko W. Radulskiego z udziałem solistów i orkiestry wojskowej pod dyrykcją H. Warsa.

10.VII. sobota, godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Z cyklu „O czym się mówi i pisze na świecie”.

3) Pogadanka religijna. 4) Chopin. Nokturn F-dur (płyty).

## Wezwanie Kierownictwa

### Walki Cywilnej w Kraju

Wspominane przez nas wielokrotnie, wychodzące w Warszawie tajne pismo polskie „Rzeczpospolita Polska” zamieściło odezwę pełnomocnika rządu Rzeczypospolitej na Kraj. Poniżej podajemy kilka wyjątków.

Podjęmowana przez społeczeństwo polskie w różnych kierunkach akcja samoobrony wymaga koordynacji i jednolitego kierownictwa. Ustanowione w Kraju przez rząd Rzplitej Polskiej czynniki wojskowe i cywilne powołały w swoim czasie do życia, jako podwładny sobie organ, Kierownictwo Walki Cywilnej. Każdy obywatel polski, prócz wspomnianego obowiązku posłuszeństwa, winien nadto starać się o rozpowszechnianie jak najszersze tych zarządzeń,

oświadczeń i wezwań, komunikując je swemu otoczeniu w każdy możliwy sposób, a przede wszystkim ustnie. Wzywam poza tym wszystkie organizacje niepodległościowe, polityczne i społeczne, by w wewnętrznych zarządzeniach, rozkazach czy okólnikach umieszczały wszystkie zarządzenia, oświadczenia i wezwania K. W. C.

Zdam wreszcie od redakcji prasy niepodległościowej, która to prasa w warunkach okupacyjnych winna stać się głównym i stałym pośrednikiem między mną i pozostającym pod moim kierownictwem aparatem administracyjno-politycznym a społeczeństwem polskim, by w całości, podawała wszystko, co od K. W. C. pochodzi.



## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Stefan L-ski. Dziękujemy za notatkę, list i afisz. Notatkę przerezonaliśmy daliśmy. Artykułu nie możemy przecież napisać nie mając ciekawego dla czytelnika materiału. Zyczymy dalszego powodzenia.

Józef Fr. Dziękujemy za „List z Berlina”. Byłby atrakcyjny tylko gdybyśmy mogli czytelnikom udowodnić autentyczność.

Jerzy L-ski. Dziękujemy za felietonik — o ile miejsce się znajdzie postaramy się zamieścić, oczywiście z portretem bohatera.

Iz. S. Dziękujemy za artykuł, z którego wszakże nie skorzystamy. Zgadamy się z zasadniczą Pana tezą, że wciąż jeszcze popełnia się sporo starych błędów, że może nauczyciśmy się za mało. Ale ani przykład, że ktoś jest źle wychowany, nie wskazują tu dróg poprawy, ani główny argumentem w trudnym zagadnieniu uzgodnienia szarż z funkcjami nie może być, że tak jest u sprzymierzeńców.

Pchor. R. H. Dziękujemy za list, ale nie możemy przyznać Panu słuszności. Analogii między „wybawieniem” z Rumunii czy Węgier i „wybawieniem” z niewoli wschodniej można się doszukać tylko wtedy, gdybyśmy warunki bytu, zagrożenie i t. d. w obu wypadkach uznali za analogiczne. Narazilibyśmy się wówczas na zarzut, tym razem słuszny, że nie doceniamy cierpienia, ofiar i niebezpieczeństw, przez które przetrwała część naszej armii przesła. Jeśli Pan pisze w ostatnim zdaniu, że „również inne jednostki składają się w prawie 50 procentach z ochotników”, nie przeczy to tezie p. Bocheńskiego, który uważa za wyjątkowy skład SBSK, gdzie ochotników było 100%.

Sierż. Miecz. L. Dziękujemy za wiersz. Forma prawie poprawna choć mało poetycka, ale treść wydaje nam się zbyt banalna.

Kan. F. G. Dziękujemy za wiersz „Fulacz”, z którego wszakże nie skorzystamy, gdyż forma zbyt daleka od doskonałości.

Szer. Artur M. ki. Dziękujemy za przesłane wiersze. „Wieś Kurdyj-

ską” otrzymujemy po raz pierwszy, bez rysunków. Zapewne ją zamieścimy, ale nieco zaczekamy na wypadek, gdyby te wysłane poprzednio rysunki wreszcie doszły i byłyby dobre. Wiersze z cyklu „Pustynia” mniej nam trafiły do przekonania. Są jakby preintelektualizowane, mniej poetyczne.

Administracja twierdzi, że nagrodę konkursową przesłała Panu.

Pchor. Ryszard W. Dziękujemy za wiersz. Myśli szlachetne, ale — nie do druku.

Por. Tad. M-ski. Pani B. O. znajduję się w podróży — list zapewniamy za przesyłanie R. P. w Kairze.

Kan. T. a. d. G. M-ski. Dziękujemy za przesłany wiersz. Wartość dokumentu posiada wszystko, co się wowsku myśli i czuje, dlatego przyznajemy się pod sekretem, że wbrew powszechnemu zwyczajowi odrzuconych utworów nie wrzucamy do kosza redakcyjnego, ale je odsyłamy do archiwum. Czynilibyśmy jednak krzywdę autorom i czytelnikom drukując rzeczy niedojrzałe do druku.

D. T. R-ski. Dziękujemy za wiersz „Do boju”, z którego jednak nie skorzystamy.

St. strz. W. Mar. Dziękujemy za otrzymane wiersze, z których jednak nie skorzystamy. Jest w nich młoda bezpośredniość, ale są i usterki rytmiki i za mało tego, co nazywamy inwencją poetycką, a co właśnie chwytka czytelnika.

Ppor. Maks. C. Dziękujemy za miły list. Przekazemy jego treść chwilowo nieobecnemu autorowi tego artykułu. Zgadamy się z Panem w zupełności, że zapewnienie młodzieży nauki ma wielkie znaczenie i dlatego cieszymy się, że ta sprawa stoi, o ile nam wiadomo, coraz lepiej.

H. S. Nie sądzimy, by w ówczesnych warunkach mogła być mowa o tego rodzaju akcie formalnym. Przypuszczamy, że zapytanie Pana wiąże się z dyskusją, która toczyła się na naszych łamach, ale w dyskusji tej nikt nie mówił o przymusie prawnym.

## POSZUKIWANIA

Ppor. Gombiński Józef (P. F. P. 201) — inż. Steinhardt (Szejnhard) Tadeusza, syna Stanisława, z Warszawy i prosi o wszelkie wiadomości.

340. Rusinek Władysława (Teheran, Delegatura M. P. i O. S., Obóz Cyw. Nr 1, sz. 14) — syna Juliana Rusinka, który ostatnio był w Guzarze (ZSRR) w Kompanii Młodocianych i 9. VIII. 42 r. miał wyjechać do Iranu.

341. Łopaciński Józef (P. F. P. 710) — Stefani Antończak z m. Panki, woj. częstochowskie oraz braci: Stanisława Łopacińskiego — księdza i plut. pchor. Łopacińskiego Jana — zam. ostatnio w Sosnowcu.

342. Szczuciński Jan (P. F. P. 56) poszukuje rodziny i znajomych z Wileńszczyzny.

343. Wieliczko Jan (P. F. P. 620) — Romana Pasternaka, ur. 1921, wywiezionego ze Lwowa i Ostrowskiego Michała ur. w 1920 — ma wiadomości o ich rodzinie.

344. Przybysz Zbigniew (P. F. P. 341) poszukuje krewnych niżej wymienionych osób, przebywających w Rosji: Stachyrowej Marii, Piłińskiego Władysława, Gurdawicza Michała i Piskozob Józefa z Haliacza, pow. Stanisławów; Ternackiej Reginy, Żelaznej Julii, Leszczewskiej Eugenii, Arciszewskiej Stefanii, Arciszewskiej Józefy — z Jedwabnego, woj. białoostockie; Justowej Michałiny, Głowackiej Marii, Jakubowskiej Janiny, — z Łomży; Kołodziej Zofii i Smyrekowej Marii z Przemysła i Przybyszowej Apolonii z Haliacza.

345. Zaleski Bronisław (RAF-Heliopolis, Polish Section) — Zaleskiej Wandy, porucznika Czepuła Józefa i Rogowskiego Tadeusza.

346. Lempicki Roman, (P. F. P. 514) — Swisterskich: Kazimierza (lekarza), Ewy, Andrzeja i Zofii — Anny, którzy w początku 1910 r. przeszli granicę węgierską udając się do Egiptu.

347. Olszaniecki Stanisław (P. F. P. 109) — rodziców, siostry Cecylii, brania Mariana i Józefa, zamieszkałych w Dolinie.

348. Słota Zdzisław (P. F. P. 109) — Stefani Barteczko z Drohiczyzna.

349. Zaremba Władysław (P. F. P. 516) — brata Janusza z maj. Dziwie.

350. Witczewska Felicja, Palestyna. Jaffa. Abu Kerem. Russian Mission Polish Institute — syna Andrzeja Witczewskiego ur. 14. XII. 1926 w Szemiotówce woj. Brześć. Przebywał na zycie w archangielskiej obl.

351. Matusz Irena (P. F. P. 61) — Sowińskiego Czesława, lat 21 — 22, który był na zesłaniu w akolijniskiej obl. makiński rej. pos. Kapitana i pozostawił tam matkę.

352. Knobelsdorf Irena (Delegatura Teheran, Obóz Cywilny Nr 1) — Knobelsdorfa Mieczysława, aresztowanego w 1941 r. w Wolkowsku.

353. Rawicki Józef (P. F. P. 551) — inż. Muszyńskiego Leszka z Politechniki Warszawskiej.

354. Wiadomość dla p. Radaja: PCK Teheran informuje, że p. Edmund Sobczak wrócił do Kraju i przebywa w Lublinie Krakauerstr. 59/8 wraz z żoną i dziećmi. Wszyscy są zdrowi.

355. Szczęśniak Jan (Polish Delegation Livingstone Nordheim Rhodesia, Afrika) — żony Marii z d. Czerwńskiej z kol. Wiszewska gm. Otuska, pow. Brześć n. Bugiem oraz dzieci: Heleny lat 23, Bogusława — Władysława lat 20 i Maksymiliana — Mieczysława lat 18, zam. w folwarku Podbiała pow. Brześć n. Bugiem — wszystkich wywiezionych do ZSRR. Wiadomości o poszukiwanych proszę kierować do Delegatury PCK Teheran (Polish Red Cross Teheran-Iran).

356. Oliner Moniek (P. F. P. 310) — krewnych i znajomych z Czeremnej, pow. Jasło, woj. krakowskie.

357. Przybysz Zbigniew z Haliacza (P. F. P. 341) — krewnych i znajomych.

358. Zofia Zyrkiewiczowa (W Brytania) — kpt. Bronisława Rybińskiego lat 37 i Eugenii z Kolanowskich oraz plk. Jadwigi Jachimowicz, Janiny Janiszewskiej z synem i Marii z Jachimowiczów Szychowskiej z synem. Wiadomości o poszukiwanych proszę kierować do PCK Teheran.

## Przegląd tygodnia

(Dokończenie ze str. 2)

zdobycia, może w samych Niemczech wytwarzać nastroje fałszywego bezpieczeństwa, które doprowadziły do zguby Francję z jej rzekomo niepokonalną linią Maginota. Propagandyści niemieccy zdali sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa. Gen. Dietmar, rzecznik wojskowy radia berlińskiego zapewniał, że Niemcy „nie odczuwają linii Maginota jako takiej, ale ducha, którego ona zrodziła”. A „Deutsche Allgemeine Zeitung” stwierdza, że Europa wciąż jest ośrodkiem siły zdolnej do działań zaczepnych. Jednocześnie prasa niemiecka pełna jest nawoływań do spokojnej ufnosci. Ufnosć tę Niemcy operują na przekonaniu, że forteca, europejska jest nie do wzięcia, że gdzie podwodne Rzeszy uniemożliwią przeprowadzenie desantów oraz, że kryzys rąk roboczych w Niemczech rozwiążą obcy robotnicy, którzy jdnak mogą stać się koniem trojańskim w sercu Rzeszy.

Faktyka defensywna stanowi wskazanie z zaprzeczenia dynamizmu narolowo-socjalistycznego nie mówiąc o

tym, że nie wygrywa się na ogół, wojen, zamykając w swej fortce, chyba że oblegając odstąpią od oblegania. I na to właśnie liczą Niemcy. Zadaniem sprzymierzonych jest nie dać złapać się w pułapki zastawione z wielu stron, lecz wykonywać własny plan działania. Jest to istotnie krytyczne lato wojny. Są siły, które pracują nad tym, aby alianci na zachodzie ugrzęźli w impasie, są inne, które pragną, by wyczerpały się oni w nieprzeumysłanych i bezowocnych wystąpieniach. Cała sztuka, by przełamać te trudności i uniknąć obu niebezpieczeństw, nie tracąc panowania nad sytuacją.

NOWE POROZUMIENIE MIĘDZY GEN. GIRAUD I GEN. DE GAULLE ma raczej charakter formalny niż organiczny. Nie doszło do złączenia bojowych Francji Walczącej i wojsk Gen. Giraud. Obaj generałowie pozostają na czele swych dotychczasowych formacji. Gen. Giraud dowodzić będzie w Afryce północnej i zachodniej, a gen. de Gaulle w pozostałych posiadłościach Francji. Nie będzie więc jednego naczelnego wodza armii francuskiej, a symbolem jedności będą tylko wspólna kasa wojskowa oraz stały komitet wojsko-

wo, do którego wejdą obaj generałowie i szefowie sztabów sił lądowych, morskich i powietrznych. Dokonano jednocześnie nowych nominacji na wyższych stanowiskach wojskowych. Gen. Juin został szefem sztabu gen. Giraud, a gen. Larminat — szefem sztabu gen. de Gaulle.

Czy to formalne porozumienie, polegające na tym, że przedstawiciele obu obozów francuskich zasiadają będą przy jednym stole, doprowadzi do faktycznego zespolenia — przyszłość pokaże. Na razie rokowania między obu generałami wykazały znacznie większe różnice poglądów niż pierwotnie sądzono. Gen. de Gaulle skupia dokoła siebie elementy, które chcą co najmniej nawiązywać do tradycji III Republiki z lat ostatnich. Gen. Giraud jest zdania, że należy wyciągnąć wszystkie wnioski z błęski z 1940 r., zerwać z ustrojem, który jego zdaniem doprowadził Francję do upadku, natomiast przepoić naród francuski nowym duchem, a armię oprzeć na nowych podstawach.

Układ Giraud — de Gaulle w sprawach wojskowych nastąpił na skutek interwencji anglo-amerykańskiej, gdy zdawało się, że dojdzie do zerwania również pierwszego politycznego ukła-

du. Fakt interwencji został ujawniony, a prasa brytyjska wystąpiła nawet z krytyką postępowania gen. de Gaulle. Brytyjskie oficjalne biuro prasowe nie szczędząc mu pochwał z naczało jednak: „General jest człowiekiem o wybitnych zdolnościach, ale nie jest on idealnym przywódcą ruchu, który z natury rzeczy jest i musi być demokratyczny. General jest osobowością, która z trudnością dostosowuje się harmonijnie do działań zespolowych”.

W LONDYNIE POWSTAŁ NOWY RZĄD JUGOSŁOWIAŃSKI, na którego czele stanął p. Trifunowicz. Przesilenie trwało długo i było ciężkie do rozwiązania. Jugostawia przeżywa znaczne kłopoty wewnętrzne. Wobec tego jednak, że omawianie tych spraw napotyka na trudności, ograniczamy się do stwierdzenia, że gen. Michajłowicz, dowódca wojsk walczących z „osią” w Jugostawii, pozostaje ministrem spraw wojskowych. Jego czynnym zastępcą w Londynie mianowany został b. premier gen. Ziukowicz. Jednocześnie nakazano się urzędowe zaprzeczenie wiadomości, jakoby gen. Michajłowicz zaprzestał walki i opuścił Jugostawie. D. I.

## KIM BYŁ HITLEROWSKI BANDYTA

## BRUNATNA PRAWDA

W „Le Progres Egyptien” ukazał się ostatnio ciekawy artykuł pobra Eugéniusza Lennhoffa pt. „General policji Krueger — rzeźnik Polski”. Poniżej podajemy go w tłumaczeniu.

Od pewnego czasu Gestapo stosuje nowe metody w walce z organizacjami patriotycznymi w krajach okupowanych. Polegają one na masowych aresztowaniach, przy czym grupuje się ludzi według zawodów i specjalności. W szczególności chodzi o „wyluskanie” b. oficerów. Ponieważ są oni obowiązani meldować się stale w urzędach Gestapo, wzywa się ich, a następnie aresztuje i odsyła do obozów koncentracyjnych. System ten zastosowano najpierw w Norwegii; wszystkich oficerów marynarki, którzy pozostali w kraju, aresztowano i wysłano do Niemiec. Następną z kolei była Holandia, gdzie Gestapo w ciągu jednego tylko tygodnia mają uwięziło 4.000 oficerów. Szef Gestapo w Polsce aresztował 10.000 oficerów rezerwy w Generalnym Gubernatorstwie i 3.500 na terenach Polski włączonych do Rze-

zy. Wielu z nich skazano na śmierć i rozstrzelano pod zarzutem, że są wrogami Niemiec i porządku narodowo-socjalistycznego.

Fryderyk Wilhelm Krueger, oto nazwisko człowieka, który zapoczątkował tę nową politykę eksterminacyjną w Polsce. Piastuje on najwyższy stopień w S. S. i jest szefem Gestapo na Polskę. Należy do „starej gwardii”, przynajmniej jeśli chodzi o wiek. Urodził się w Alzacji w 1894 r. i poświęcił się karierze wojskowej w armii cesarskiej Pomimo, że w 1914 r. był już podporucznikiem, do końca wojny dosłużył się zaledwie stopnia porucznika. Po utworzeniu Republiki Weimarskiej przeszedł na natychmiast na stronę przeciwników nowego reżimu. Jest członkiem sławnego „Wolnego Korpusu Lutetawa”, bierze udział w przygotowywaniu zamachów na wybitnych mężów stanu i w „likwidacjach” niepowolnych członków „Czarnej Reichswehry”. Później okazał się tak niebezpieczny, że wyrzucono go nawet z organizacji, chociaż mord był dla niej chlebem powszednim.

W ciągu trzech lat grał niejasną rolę. Zarabiał na utrzymywanie się skromny pracownik w księgarni, lecz zajęcie to nie odpowiadało mu zupełnie. Nawiązuje więc stosunki z berlińskimi socjal-demokratami i dzięki nim otrzymuje poważne stanowisko w „Miejskim Towarzystwie Użytkowania Odpadków” w Berlinie. Nowi przyjaciele uwierzyli w zapewnienia, że „jest zaciekle wrogiem wszelkich ruchów nacjonalistycznych i wyrotowych”. Po pewnym jednak czasie Krueger oszukał swych protektorów. To co robił w „Wolnym Korpusie” prowadził dalej na terenie Berlina jako przywódca urzędniczych miejskich — był szpiegiem i donosicielem. Wykorzystując swe stosunki umożliwił kolegom z partii narodowo-socjalistycznej położenie ręki na administracji zarządu miejskiego stolicy. Lecz przed osiągnięciem swego celu został zamaskowany i zwolniony z pracy.

Nowa ta awantura zwróciła na osobę Kruegera uwagę ówczesnego gauleitera Berlina dr Goebbelsa. Zostaje więc szefem „komórki ulicznej” S. A. i wkrótce odznacza się jako jeden z najbardziej znanych opryszków pomiędzy brunatnymi koleszami Berlina. Krueger chwalił się nawet pewnego razu, że pobił i okaleczył więcej socjalistów, komunistów i członków stowarzyszeń młodzieży katolickiej, niż wszyscy szturmowcy S. A. wzięci razem.

Przez dwa lata Krueger służy w gwardii ochronnej Goebbelsa oraz jest nierozłącznym towarzyszem znanego z brutalności Horst Wessela. W 1931 r. kpt. Roehm mianuje go szefem grupy „Wschód” S. A. Z kolei Krueger wstępuje w szeregi S.S. W oficjalnym piśmie partii, wydawanym przez Hitlera Herberverlag p. t. „Fuehrer i jego ludzie” — Krueger przedstawiony jest bardzo korzystnie jako „najwspanialsza z brązowych koszul niemieckiego Reichstagu”.

Po czerwiec 1934 r. Hitler powierza mu wyćwiczenie S.S. Na tym stanowisku Krueger ustala zasady tworzenia „stróżów prawideł życia narodu niemieckiego”. W 1935 r. zostaje mianowany generałem. W tym samym czasie zostaje również „inspektorem jednostek granicznych” tzn. — szefem Gestapo na wszystkich terenach pogranicznych Trzeciej Rzeszy.

Teraz zabiera się do systematycznego wprowadzania rozkładu wewnętrzznego w krajach żyjących przyjaźnie z Niemcami Hitlerowskimi.

Już wówczas Krueger interesuje się szczególnie Polską. To on właśnie wysyła potajemnie do Polski terrorystów ukraińskich, ćwiczonych w Berlinie i Szczecinie.

To on dostarczał broni, amunicji i materiałów wybuchowych zdrajcom niemieckim na Górnym Śląsku i w Poznaniu, bandom Henleina i w chosłowski i narodowym socjalizmem w Austrii. To on organizuje porwania w różnych krajach, np. porwanie znanego pisarza antyhitlerowskiego Bertholda Jakoba w Szwajcarii. Czuwa również nad pryncypalnymi organizacjami szpiegowskimi, zapewniając agentem i członkom piątej kolumny możliwość ucieczki i schronienie w Niemczech.

Krueger jest radnym Berlina i członkiem rady państwa pruskiego oraz jednym z głównych członków „sądu narodowego”. Jako sędzia skazuje na śmierć wielu przeciwników Hitlera.

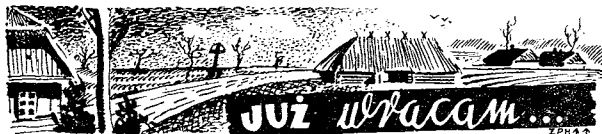
Krueger — szef policji niemieckiej w Polsce — ponosi odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie popełnione w tym kraju. Jeden z jego podwładnych, szef prasy, por. policji Finke, w artykule umieszczonym w „Rheinische Westfaelische Zeitung” mówi: „Krueger rozciągnął nad Polską sieć policyjną nie do przejścia, sieć, przez którą nawet mysz się nie przedźlizgnie. Każdy członek policji niemieckiej będący pod rozkazami Kruegera ma prawo wkroczyć w sposób najbardziej bezwzględny w każdej okolicy. Nie ma miejsca na słabości spowodowane uczuciem litości. W wypadkach wątpliwych wieszajcie. Tylko ostre obchodzenie się i krągła bezwzględność zapewniają możliwość opanowania tych ludzi, należących do niższej rasy — Polaków”.

W przelitym liście por. Fryderyka Teihla do jego kuzyna Helmuta (Teihl został zabity w Warszawie przez bojowców polskich) czytamy: „od czasu kiedy Krueger przybył do Generalnego Gubernatorstwa nie oszczędzamy nic i nikogo. Za każdym razem widok wstrętnych mord polskich zmusza nas do bicia. My Niemcy, musimy wyraźnie pokazać tym polskim kanalom, kto tu jest panem”.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Krueger wzmógł uczucie nieprzejednanej nienawiści narodu polskiego. Nazajutrz po zamachu na życie Heydricha w Pradze, na murach biura urzędu Kruegera w Krakowie ktoś umieścił kredą napis: „Następnym razem będzie kolej Kruegera”.

P. Lennhoff pisząc ten „zyciorys” nie wiedział jeszcze, że w dniu 2 maja niemiecki bandyta zginął od kul bojowców polskich, wykonujących wyrok śmierci na mocy tajnego specjalnego sądu Kierownictwa Walki Konspiracyjnej w Polsce.

Napis ocieka już krwią.



Odszedłem o zachodzie, którymś dniem jesiennym, co włókł się nad granicą w rozpaczonych wierzbach. Prosiłaś mnie bym wrócił, zostań, nie odjeżdżaj... nie mogłem — byłem wtedy już jeńcem wojennym. Więc głowę — złotą w słońcu — pochyliliś nizej, żegnając mnie ostatnim przydrożnym swym krzyżem... I taką Cię pamiętam — w zachodzącym słońcu, jak stałaś w chuście dymów, z krzakiem polnej róży, gdy gasły już pożary po śmiertelnej burzy — pochylona cierpieniem, a jednak wierząca. A kiedy zamykano Cię granicy kluczem pytałaś jeszcze z dali — czy przyjde, czy wrócę... Pod dachem zórz polarnych, w dalekiej Północy, gdy w śniegu deptaliśmy łachmanami bułwów, trup słońca zaplątany w sieć kolczastych drutów, nakryty przycieradłem białych, chłodnych nocy — chciałem krzyknąć, że idę, że jeszcze nie ustali... Lecz mróz pieczęcie ciszy przybił na ustach. Aż wreszcie którymś świtem uderzyła w Ural piosenka — ta o Tobie, piosenka z nad Wisły, i nad stępy czerwienią i bielą wytrysły sztandarów Twoich kwiaty i zakwitły w chmurach! Wiedziałem, że oparta o krzyż na Giewoncie spoglądasz, jak ruszamy, jak idziemy w słońce. O wschodzie niebo wbite na szczyty Tian — Szaniu, zrzucało purpurowe w step lawiny śniegów, po których dnie zbiegały i z nami w szeregu stawały na modlitwę w żołnierskim ubraniu. Gdy noce Tobie gwiazdy już kładły na życie, tu świty nam namioty maczały w błękitcie... Miedziany księżyc z dachów skaliestych Iranu przesączał krew przez srebro tatarskich topól, i wpinał na męczetach groty w łuki kopuł i krzepł na minaretach symbolem Islamu. A w górach, na postoju, wąwozu tunelem nad Kraków leciał hejnał wieczornym apalem... Przez złoty deszcz pomarańcz, wśród słonecznych kaluż, szły palmy Ziemią Świętą w koronach zieleni... Wiesz — kiedyś o zachodzie spotkałem w czerwieni Chrystusa, gdy powracał drogą do Emaus... Mówiłem Mu o Tobie — i tylko słyszałem, Jak powiedział — Zmartwychwsta — jak ja zmartwychwstałem... Dziś słyszę, jak lasami szumisz rozteśknioma i patrzysz na widokrag drogi ciągle pustej... My jeszcze tu idziemy twardym grzbietem pustyni, a z nami noce zbrojne w srebrny miecz Orionu. Więc usiądź przed mój domem — gdy dzień się rozżłaca — i czekaj mn'e. Ja idę. Wciąż idę. Już wracam!

Janusz Wedow

## WIECZORY POEZJI

Na terenie Palestyny znalazła się na czas dłuższy lub krótszy spora gromadka polskich „ludzi pióra”, wśród nich najwybitniejsze chyba talenty poetyckie Armii Polskiej na Wschodzie. Jest objawem zdrowym, że talenty te szukają ujścia, nie zadowolniają się łamami prasy, radem i mnożącymi się ostatnio tomikami wierszy, ale inicjują także bezpośredni kontakt z publicznością w postaci wieczorów poetyckich. Dwa takie wieczory miały już miejsce w Jeruzolimie, trzeci projektowany jest jeszcze w czerwcu. Na dotychczasowy program złożyły się recytacje wierszy poetek Beaty Ober-tyńskiej i Jadwigi Czechowiczówny,

poetów Władysława Broniewskiego, Zdzisława Bronclia, Mariana Czuchnowskiego, Zygmunta Milewskiego, Jerzego Woszczyńska i Stefana Legeżyńskiego oraz prozy Melchiora Wańkowicza i Janusza Jasińskiego Bryniarskiego. Oba wieczory cieszyły się wielkim powodzeniem, w czym nie mała część zasługi przypada świetnym recytatorom. Podobnie wieczory zapoczątkowała już Delegatura M. P. i O. S. w Jeruzolimie, a chodzą słuchy, że dobry przykład będzie naśladowany i poza Palestyną. Szczęśliwie, że będą też podjęte w poszczególnych oddziałach posiadających nierzadko po kilku poetów choćby początkujących. L.